M.B. im. L. W. Łódź

odgłosy

nr 37

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 9 listopada 1958 r.

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

W PIOTRKOWIE DNIEJE

Z wędrówek po województwie

Miasta, jak ludzie, mają swoje sym — i swoje antypatie. Krakowianie żywią nieprzezwyciężoną niechęć do Warszawy za to, że obdarła ich ze stołecznego dostojeństwa. Podejrzewam, iż znana awersja historyków „szkoły krakowskiej" do Zygmunta Wazy wynikała nie tylko z ogólnonarodowych, ale i z partykularnych pobudek... Toruniacy cierpną na sam dźwięk słowa „Bydgoszcz". W Zduńskiej Woli nie lubią Sieradza, w Kaliszu — Poznania. Piotrków natomiast ma liczne powody, aby czuć urazy do Łodzi.

Jest to przede wszystkim niechęć arystokraty z podupadłego rodu wobec parweniusza, który dorobił się fortuny. Cóż znaczą bowiem niespełna stuletnie dzieje Łodzi wobec nimbu historii, otaczającego miasto trybunalskie? Wielu piotrkowian, których na pozór trudno by posądzić o głęboką znajomość wiedzy historycznej, przy każdej okazji recytuje długą listę ewenementów dziejowych opromieniających ich miasto rodzinne. Tu wybierano wszystkich królów dynastii jagiellońskiej, tu zwoływano synody kościelne prowincji gnieźnieńskiej, tu odbywało się także kolokwium wyznań protestanckich przeciw katolicyzmowi, tu ukształtowały się sejm i senat, stąd bierze początek polski parlamentaryzm. Pierwszą mowę w języku ojczystym podczas obrad sejmowych wygłosił w Piotrkowie Mikołaj Rej, a drugi Mikołaj — Kopernik rozprawiał tutaj o poprawie monety. Modrzewski wodził się tu za głowę z Hozjuszem. Jan Olbracht w Piotrkowie ogłosił swoje „statuty", program wstecznictwa, co jest jedną z ciemniejszych kart dziejów miasta. W Piotrkowie wreszcie, aż do ostatniego rozbioru, urzędował najwyższy sąd — Trybunał Koronny.

Nie same jednak górne i chmurne tradycje żywią i podsycają niechęć piotrkowian wobec Łodzi, która zepchnęła ich miasto do drugorzędnej roli. Zewsząd słychać utyskiwania, iż Łódź myśli tylko o swoich własnych sprawach, zaniedbując województwo, że wielkie miasta przemysłowe nie powinny być z reguły ośrodkami władzy terenowej, gdyż działając jak pompa ssąca przyczyniają się do upadku miast mniejszych w kręgu swego oddziaływania. Nie wdając się w analizę tego problemu, trzeba przyznać, iż np. w USA stolice stanów prawie nigdy nie są zarazem ich największymi miastami. Namiętnie wyznawany przez piotrkowian pogląd, że siedzibą województwa łódzkiego powinien być Piotrków, nie jest więc całkowicie zawieszony w próżni.

Trudno by dłużej się zatrzymywać nad wszystkimi inwektywami, hojnie rzucanymi tutaj pod adresem Łodzi. „Torpedują każdą naszą inicjatywę". „z nikim nie można się dogadać" „z Łodzią w ogóle niesposób żyć" — licho wie ile w tym racjonalnego ziarna, a ile żalu uboższego kuzyna. Są

DALSZY CIĄG na str. 3

TADEUSZ PAPIER

WIELKI PAŹDZIERNIK ICH OBUDZIŁ

Andrzej Krzyżanowski

Ludwik Spruch

Ludwik Zygmunczyk

Artur Banasz

Książka ta jeszcze nie ukazała się w druku. Nie ma jej na półkach księgarskich. Nie wiem, czy w ogóle myśli kto o jej wydaniu. A wydaje mi się, że jej edycja jest konieczna.

Piszę więc o nie napisanej książce w rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. Książka, którą proponuję, nie opowiada o „olbrzymach myśli, charakteru, wszechstronności i wiedzy". Nie, jest to książka o szarych, bardzo prostych ludziach. Nie piszę o tych, którzy wykładali „algebrę rewolucji". Wspominam raczej tych, których Październik „obudził" i „oczyścił".

Proponuję wydanie albumu, który by opowiadał o Polakach biorących udział w Wielkiej Rewolucji Październikowej wśród nich również i o łodzianach. Żyją jeszcze uczestnicy tych walk. Archiwa zbierają ich fotografie. Oni sami piszą swoje życiorysy. Życiorysy chowa się do szarych kopert. Koperty oznaczone cyframi rozpoznawczymi wędrują do kartotek. Szare koperty stoją w szeregu, jedna za drugą, jak niegdyś żołnierze. Do Wydziału Historii Partii zgłaszają się przedstawiciele fabryk, szkół, zakładów. „Towarzysze, dajcie nam coś z okresu rewolucji. Chcemy to wykorzystać". Fotografie i suche zapiski kronikarskie wędrują na szpalty ściennych gazetek, gablotek, wystaw. Stąd wracają, albo nie wracają — jeżeli wypożyczający nie są solidni — do swojego stałego pomieszczenia. Do swoich, „biurowych koszar". A żywi bohaterowie występują od czasu do czasu w radio. Opowiadają o swoim życiu. „Urodzony w tym i w tym roku, w rodzinie małorolnego chłopa, w województwie łódzkim, 9 osób rodzeństwa, z ruchem rewolucyjnym zetknął mnie starszy brat, który od 1902 był członkiem SDKPiL, w okresie 1905 roku mając niecałe 13 lat, pełniłem funkcję kolportera partyjnego..." I dalej następuje życiorys pełen niezwykłych, zaskakujących sytuacji, dramatycznych przeżyć, osobistych tragedii. Ten życiorys jest pisany najczęściej suchym, skrótowym, ankietowym stylem — i to właśnie jest najgorsze. Jednak od czasu do czasu zabłyśnie szczerym wzruszeniem: to wówczas, kiedy autor opisuje spotkanie z Leninem i rozmowę z nim, „nie potrafi powtórzyć", co mu Lenin powiedział, ale był ogromnie wzruszony i tyle zrozumiał, że „przy pomocy takich oddanych ludzi zakończymy wojnę, a narody dotychczas uciskane odzyskają wolność". Zakończenie odbiega już nieco od stylu poprzedniej wypowiedzi, ale rzecz w tym, żeby oczyścić go z niepotrzebnego patosu, a wydobyć to, co jest najistotniejsze.

Być może, w tramwaju potrącimy niechcący starszego pana i nie domyślimy się, że to autor życiorysu, w którym opowiada, jak to w roku 1907 został skazany na bezterminową katorgę, przez 10 lat siedział w różnych więzieniach i w czasie rewolucji październikowej i wojny domowej „był czynnym obrońcą Kraju Rad".

Pamiętam, z jakim wzruszeniem witaliśmy na ulicach miasta starego weterana, powstańca z 63 roku. Jak trudno jest rozpoznać w zwykłym, starym przechodniu weterana walk październikowych. Ale też nie chodzi tutaj o zewnętrzne, konwencjonalne objawy szacunku, ani, o to, jak określa Lenin, aby „po filistersku uczcić go mową pochwalną". Ludzie ci, o których piszemy i mijamy na ulicy, walczyli o coś więcej z Bironami i Arakczejewami.

Otwieram więc ten album i widzę, jak można wyznaczać czas trwania opowieści. Albumy mają to do siebie, że czas staje się w nich odczuwalny, „ma swoją rolę". Oto więc jest ten nowy album, gdzie zdjęcia wyznaczają nie tylko pojedyncze zdarzenia, ale całe układy zdarzeń, gdzie co chwilę bohaterowie występują w coraz to nowej roli. Są to bardzo często bardzo smutne albumy. Ale sprawa, która zamyka życie bohaterów, nie jest sprawą smutną, ani przegraną. Przestrzeń między jednym i drugim zdjęciem, wypełniają wspomnienia. Siedzą lub stoją postacie sztywne, uroczyste, bez ruchu, z oczami wpatrzonymi zawsze w jeden i ten sam punkt. To są właśnie ci, którzy byli szeregowymi „pułków proletariatu" i zespalali „świat roboczy". Z okazji Wielkiej Rewolucji Październikowej pada wiele słów. Zapewne, nigdy nie będzie dość przypominać wydarzenie, które otworzyło drzwi do nowego, sprawiedliwego świata. Nie pozwólmy jednak, by zaginął konkretny ślad po szeregowym rewolucjoniście. Dobądźmy go z archiwalnych kopert, albowiem święcimy jeszcze jedną rocznicę rewolucji, której wykonawcą i bohaterem był właśnie ów przedstawiciel mas, a celem — jego spokojne, twórcze i pracowite życie.

Siedmiu myśliwych na drzewie

WIESŁAW MACHEJKO

To musicie wiedzieć:

Mamy w naszym województwie 2000 myśliwych, wśród których znajduje się 220 selekcjonerów uprawnionych do odstrzału zwierzyny płowej, tj. jeleni, sarn i danieli.

W sezonie łowieckim na terenie województwa pada około 30 tysięcy zajęcy, 40 tys. kuropatw, 250 dzików. Sarny i jelenie upolowane tylko w ramach selekcji, policzyć można na palcach jednej ręki. A teraz przeczytajcie reportaż z polowania.

KTO TO JEST MYŚLIWY?

Kto to jest myśliwy? Myśliwy jest to biedny człowiek zakochany w przyrodzie, zwierzynie, osobliwie zaś w polowaniu. Istnieje tylko pozorna sprzeczność między miłością przyrody a strzelaniem do zwierzyny. Bowiem gąszcz przepisów ochronnych, okresów, terminów, obostrzeń, sprawia, że na to polowanie zostaje w końcu tyle czasu, iż zdoła się odstrzelać jeno sztuki cherlawe, chore, niewydarzone, albo zgoła głupie, które beztrosko wychodzą wprost na strzelającą przypadkowo lufę dubeltówki... Taka zwierzyna jest nam niepotrzebna i po co ma się

Dokończenie na str. 5

JAN ADAMOWSKI

„Biję w gębę i płacę"

czyli poemat niepedagogiczny

I.

Spotkałem magistra S. w gmachu Sądu Powiatowego. Wysoki, przystojny szatyn, nauczyciel szkoły podstawowej. Trzy lata temu skończył studia na Uniwersytecie Łódzkim i natychmiast przystąpił do pracy. Kocha dzieci i swój zawód. Od niego, wykładowcy historii Polski, zależy, jakimi oczyma dzieci spojrzą na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość kraju. Decyduje o tym nie tylko suma przekazanej im wiedzy, lecz w nie mniejszym stopniu żarliwość i ładunek emocjonalny, jaki wkłada w nauczanie młody pedagog.

I oto mgr S. znalazł się w sądzie, występując w charakterze powoda cywilnego przeciw niejakiej ob. Babiczowej. W jakiej sprawie? Prywatnej? Ależ skąd! Jak najbardziej służbowej. Dlaczego nie wnosi on z ramienia szkoły, Wydziału Oświaty względnie nauczyciela aktu oskarżenia?

Jakoś nikt nie przejmuje się tym, że matka ucznia przychodzi do szkoły i w obecności wszystkich policzkuje nauczyciela, wrzeszcząc przy tym: „Biję w gębę i płacę. Stać mnie na to".

Dlaczego bije?

W czasie lekcji historii, prowadzonej przez mgr S., spóźniło się kilku, znanych ze złego sprawowania, uczniów. Była druga godzina lekcji i dwóch spośród spóźnionych zaczęło na środku klasy błaznować. Nie reagowali na wezwanie wychowawcy. Jeden z nich, Babicz, wyrwał się nauczycielowi, usiłującemu doprowadzić go na miejsce. Chłopak potknął się i zranił sobie głowę o kant stołu.

Wszyscy zgodnie stwierdzili, że wypadek nastąpił z winy niesfornego ucznia. Mimo to matka nie czuła się w obowiązku zbadać sprawy, lecz samowolnie wymierzyła „sprawiedliwość"...

Tak więc doszło do rozprawy przed organem sprawiedliwości bez cudzysłowu. Wyrok brzmi: 7 miesięcy aresztu. Sąd nie uznał argumentów obrony, że Babiczowa działała w afekcie. Na odwrót, przewód sądowy wykazał, że wyznawała ona filozofię: „pieniądz to wszystko" (Babiczowa prowadzi własną pracownię krawiecką). Wstrząśnięty tym sędzia stwierdził: „Pani wyrządza dziecku krzywdę, deprawuje je".

II.

Do Marszałka Sejmu PRL — Wycecha wpłynęło pismo od ob. Krawczyk z Łodzi. Donos mówi, że wszyscy nauczyciele XXVI Liceum Ogólnokształcącego nie są uczciwi, ubliżają Polsce Ludowej i dobre stopnie dają jedynie za cenę „bibki". Wyświetlaniem sprawy zajęło się Ministerstwo Oświaty, a następnie Kuratorium. Zaangażowano moc ludzi, stracono wiele czasu. Co się okazało? W ciągu całego roku syn Krawczykowej zaniedbywał naukę, co oczywiście odbiło się na końcowych wynikach. Miast obiektywnie ocenić zachowanie się syna, matka wolała sięgnąć do insynuacji, bezpodstawnie oskarżając starych, uczciwych, doświadczonych pedagogów o łapownictwo.

Niezależnie od wszystkiego pasjonuje mnie w tym miejscu kwestia, czy fałszywe donosicielstwo ujdzie ob. Krawczyk bezkarnie.

III.

Statystyka przestępstw nieletnich wykazuje niepokojące tendencje wzrostu. W ubiegłym roku zanotowano w Łodzi 641 przestępstw popełnionych przez nieletnich, a za 6 miesięcy bieżącego roku — 549. Zaludniają się także w Łodzi domy dziecka. W ubiegłym roku było w nich 100 wolnych miejsc, a w bieżącym—wszystkie są zajęte. Kiedy wnikam w tę smętną statystykę moje myśli krążą nie tylko wokół przestępców — dzieci. Pytam ile winni są ich rodzice, którzy łacno przerzucają ciężar wychowania z siebie na barki państwa. Na ten temat wiele mówią akta sądów dla nieletnich. W wielu wypadkach sąd, widząc rozkład moralny rodziców— pozbawia ich praw rodzicielskich, przejmując na siebie obowiązek wychowania dzieci. Ta słuszna i zbawienna dla dzieci funkcja społeczna państwa budzić jednak musi pewne zastrzeżenia.

O co chodzi?

W myśl ustawy, rodzice obowiązani są pokrywać część kosztów utrzymania dziecka. Odpłatność jest znikoma i kształtuje się w zależności od zarobków rodziców — w granicach od 30 do 370 zł miesięcznie. Tymczasem w większości wypadków rodzice nie poczuwają się nawet do tak minimalnych opłat. Zaległości sięgają ogromnych sum. A nierzadko wśród dłużników są ludzie nieźle uposażeni. Tak np. pracownik Zakładów Dziewiarskich im. Plater p. Edmund Chęciński, zarabiający powyżej 2.200 zł miesięcznie winien jest 12 tys. zł. Niejaki pan Pakulski (ul. Opolska 42), właściciel prywatnego warsztatu ślusarskiego nie płaci państwu ani grosza za utrzymanie i wychowanie pięciorga dzieci.

Ciąg przykładów interesujących nie tylko w aspekcie moralnym i obyczajowym. Jest to również curiosum prawne. Brak przepisu egzekucyjnego powoduje, że państwo daje złym rodzicom swego rodzaju premię, umożliwiając im kontynuowanie beztroskiego i hulaszczego życia. Jest oczywiście komornik, którego raczej dłużnicy pilnują, nie ma jednak odpowiednich praw zakład pracy, który byłby władny ściągać należności państwowe przy wypłacie miesięcznych poborów złośliwych delikwentów.

IV.

Dekret z dnia 23 marca 1956 roku o obowiązku szkolnym stwierdza, że za uchylanie się dziecka od nauki należy wyciągnąć sankcje wobec rodziców. Według niepełnych danych Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łodzi, 185 dzieci bez uzasadnionej przyczyny nie uczy się w ogóle. Bliższa analiza wykazuje, że liczby dzieci, które przerwały naukę, są o wiele wyższe. Szczególnie duży odsetek tzw. „odsiewu" występuje w V i VI klasie. Znów najczęściej winę za to ponoszą rodzice, którzy uważają, że dziecku wystarczy umiejętność pisania i czytania.

Dekret nakłada na kolegia orzekające obowiązek karania rodziców za nieposyłanie dzieci do szkół. Tymczasem obserwacja prac kolegiów dowodzi, że zamieniają się one w tzw. „dobrych wujaszków" i w sposób aż nadto tolerancyjny rozgrzeszają rodziców

V.

Od 2 lipca br. obowiązuje sejmowa ustawa o nauce zawodu i przyuczaniu do określonej specjalności. Jak nie trudno obliczyć, a jeszcze łatwiej spostrzec, od 2 lipca minęły 4 miesiące, rozpoczął się nowy rok szkolny, a do tej pory nie ukazały się jeszcze zarządzenia wykonawcze. Mimo że problem ten — jak mówił na centralnej naradzie aktywu oświatowego Władysław Gomułka, ma kapitalne znaczenie zarówno dla młodzieży, jak zakładów pracy i polityki gospodarczej państwa.

VI.

Oto ledwie pobieżny zapis —konspekt mego pedagogicznego ,nie-poematu. Kto napisze dziś poemat?

Nauczyciel-bohater, któremu nasza ideologia nie dla czczych formułek wyznacza tak poczesną rangę, ale który w świadomości ogółu pozostaje gdzieś na dnie wyobrażeń o pozycji społecznej, nauczyciel-bohater oficjalnie wynoszony na piedestał, ale w praktyce życiowej poniewierany, nauczyciel dźwigający na sobie nie tylko trud wychowania „nerwowego pokolenia" ale i skutki rodzicielskiej nieodpowiedzialności, a także niedoskonałości ustawodawstwa — czeka na pomocną dłoń artysty — pisarza i filmowca.

Tylko, że takiego zamówienia społecznego na nowy poemat pedagogiczny nie śmiem ja dziś formułować. Byłoby to i anachroniczne i w złym tonie.

Nasza szkółka

Skłamała pani, dobrodziejko...

Dni temu kilka, przy kiosku z gazetami, na Piotrkowskiej, niedaleko rogu ul. Struga pewna pani kupiła „Głos Robotniczy" i inne dzienniki. Następnie przeszła kilka kroków, przeglądając równocześnie gazety, wyciągnęła wkładkę „Głosu Robotniczego" która, jak skądinąd wiem, nosiła tytuł „Wytyczne rozwoju Polski Ludowej w latach 1959—1965", przeczytała ów nagłówek, zrobiła wyraźny grymas, dbając, aby był on widoczny ogółowi czekających na przystanku, podeszła do kosza na śmieci i wrzuciła tam wkładkę.

Kim była ta pani? Nie wiem. Zresztą dziś, wyjątkowo, z okazji odświętności tematu nie piszę donosu. W każdym razie „na oko" nie wyglądała na żonę ś. p. Augusta hrabiego Bęc-Walskiego. Może była robotnicą, może ekspedientką, może „przy mężu" — drobnym urzędniku, a może pracuje w tramwajach?

Jej gest miał sens dwojaki. Nie było to bowiem zwykłe wyrzucenie do kosza. Gdybym ja np. otrzymał biuletyn jakiegoś filatelistycz-

nego towarzystwa, wyrzuciłbym go do kosza bez żadnego emocjonalnego stosunku, lecz obojętnie, z racji braku zainteresowania zawartością. Ów brak zainteresowania był niewątpliwie pierwszą przyczyną gestu owej pani. Nie jedyną jednak, skoro rzecz dokonała się z udziałem grymasu niechęci i to pokazowego. Ta niechęć, ciśnięcie dodatku do kosza nie były swoistą formą polemiki z zawartością „Wytycznych". Nasza pani ich treści nie znała, więc polemizować nie mogła, ani też nie mogła mieć zastrzeżeń, niechętnego stosunku itd. Wykazała więc jakiś brak zainteresowań i niechęć a priori. Do dokumentu tego jako takiego, z racji samego jego istnienia na papierze.

Kiedyś, jakiś „czujny" facet powiedziałby, że ta pani uczyniła gest wrogości wobec Polski Ludowej, socjalizmu itd. Odrzucając poznanie postaw poprzez liturgię gestów rzec jednak można, że tak, że coś w jej intencjach było „koło tego". Tylko ani dziwić się, ani ganić niesposób.

Kiedyś socjalizm przedstawiano nam niby jakąś dziewczynę, którą można i trzeba kochać, ale można też nienawidzić, a uczucie to jest właśnie fizjologiczną niemal czynnością reakcyjnych bohaterów politycznych karykatur.

Dziś, gdy socjalizm jest układem norm ekonomicznych i prawno-politycznych, istniejącym konkretem kwestia afirmowania socjalizmu lub odrzucania go w części lub całości, dyskutowania z nim z pozycji wewnętrznej lub zewnętrznej itd. (że nie będę mnożył przykładów możliwych tu postaw) — jest również sprawą rozumowa-

JERZY URBANKIEWICZ

Zrób to sam
do it yourself

Jak rysować, jeśli się nie ma zdolności do rysunku? Jak rzeźbić, jeśli się nie jest rzeźbiarzem? Jak malować, jeśli się nie odróżnia kolorów? Ba! — jak wykonywać magiczne sztuki, jeśli się nie jest kształconym w wiedzy tajemnej? I wreszcie — jak zrobić samemu... telewizor?

Na te pytania i na wiele innych odpowiadają stoiska wystawy „Do it yourself" (zrób to sam) w wielkim gmachu „Olimpia" w Londynie.

A więc firma „Art Master" daje bardzo łatwy sposób malowania obrazów olejnych na miarę starych mistrzów. Sprzedaje się kawał płótna z rysunkiem np. autoportretu Rembrandta. Rysunek podzielony na kilkanaście pól, na każdym polu numer farby, a do tego paleta z ponumerowanymi farbami. I oto każdy z nas może zostać Rembrandtem za 3 szylingi i kilka pensów. Trzeba tylko uważać. Jeśli oko ma na płótnie nr 7, to maczamy pędzel w farbie nr 7 i malujemy oko. Nos jest koloru nr 4, gdy tymczasem dziurki mieszczą się w pudełku nr 11. Nieco uwagi i otrzymuje się nawet miły dla oka obraz.

Rzeźbić możemy w gipsie i plastelinie. Oto elastyczne foremki z nylonu i torebka z gipsem. Rozrabiamy gips, wlewamy do formy i po paru minutach jesteśmy twórcami monumentalnego kotka lub nie mniej monumentalnej myszki.

Możemy to zrobić z plasteliny. Do tego służą twarde foremki, które ściskamy i po ich otwarciu wypada gotowa, plastelinowa figurka.

Wystawa „Zrób to sam" nie ogranicza się do powyższych zabawek. Ponad 200 stoisk demonstruje mnóstwo praktycznych urządzeń, pozwalających samemu zrobić remont mieszkania, nowe sprzęty, udogodnienia, ulepszenia. A więc kilka firm proponuje niewielkie objętościowo urządzenia, których serce stanowi elektryczny silniczek z rewolwerowym uchwytem. Do tego silnika mamy kilkadziesiąt przystawek, pozwalających zamienić go we frotterkę, odkurzacz, przyrząd do kopania ogrodu, warsztacik stolarski. Ten sam przyrząd przekształca się w tokarnię, wiertarkę, nożyce do strzyżenia żywopłotu i miotełkę do bicia piany.

Mnóstwo typów domowych maszyn dziewiarskich umożliwia szybkie zrobienie swetra według podanych wzorów. Maszyny do szycia mają dodatkowe urządzenia, służące do haftu.

Inne stoisko proponuje komplet części, z których każdy potrafi sobie złożyć prawdziwy telewizor o dużym ekranie. Gdzie indziej stos ponumerowanych desek i listew — to kompletne urządzenie kuchni (szafy, szafki, szafeczki). Aby je pomalować wystarczy iść do następnego stoiska, które dysponuje farbami i praktycznymi urządzeniami, zastępującymi pędzle a zamieniającymi przeciętnego ojca rodziny w fachowego malarza.

Tapety i urządzenia do ich sprawnego i ładnego naklejania, kafle na ściany i podłogi, tysiące urządzeń, pozwalających — słuchajcie, Polacy! — uniezależnić się od punktów usługowych i samodzielnych rzemieślników. Niech więc Bóg broni, by się te rzeczy dostały do Polski!

Stopa życiowa w Anglii nie jest niska. A przecież, jeśli w Polsce mówimy o oszczędności, to tylko wtedy, kiedy reklamujemy PKO ! robimy to w sposób mdły, nie przekonywający. Natomiast każda firma angielska szermuje hasłem oszczędności jako głównym motywem przy czynieniu zakupów, i dziesiątki argumentów uzasadniają konieczność kupna tych właśnie towarów a nie innych.

Wystawa „Zrób to sam" przekracza ramy nakreślone przez swą nazwę. Pokazuje nie tylko to, co można zrobić samemu, ale i wyroby przemysłu ludowego.

Wśród stoisk całego świata — duże stoisko polskie. Coopexin, Paged i Prodexmex — to nazwy instytucji. A nazwy towarów (zgodnie z prospektem): ozdoby skórzane i metalowe, lalki, sztuczne kwiaty, zabawki, meble wiklinowe i opakowania z wikliny, szczotki i „przedmioty rzymsko-katolickiego kultu religijnego". W praktyce wygląda to tak: prześliczny dział, w którym ludowe tkaniny i wyroby przemysłu artystycznego tworzą malowniczy i odwiedzany zakątek. Męskie półbuty, jakich autor korespondencji nie nosi, nie widział u swego szefa, ani u redaktora pisma, który drukuje niniejszy reportaż. Luksusowe! Za to tuż obok — lalki! Te gołe lalki, widoczne na każdym kroku w Polsce, lalki z brzydkimi twarzami starych i otyłych kobiet. Po co się z tym pchać za granicę i umieszczać je obok ślicznych, angielskich lalek, często zaopatrzonych w mechanizmy, sprawiające, że lalki ruszają się i wydają głosy.

Nieco dalej skrzynki z napisem „Mały stolarz". Tanie, jarmarczne pudełka z piłką ręczną, obcążkami, młotkiem i czymś tam jeszcze. Chłopcy angielscy, którzy tłumnie myszkują po wystawie, nie dostrzegają tego prymitywu wobec nawału nowoczesnych, zmechanizowanych warsztatów, wystawionych gdzie indziej.

Mamy śliczne, miniaturowe laleczki w ludowych strojach. Można je kupić w Cepelii, a zrobiły furorę w Brukseli. W Londynie ich nie ma. A gdzie kurpiowskie lelujki, gdzie łowickie wycinanki, gdzie góralski sprzęt domowy? Stoiska Ghany i innych egzotycznych krajów roją się od rzeźb ludowych, ludowych ubiorów, przedmiotów codziennego użytku z piętnem ludowego artyzmu. Połowę naszego stoiska zajmują... koszyki.

Kiedy nasze imprezy zagraniczne urządzać będą ludzie, którym zależy na pokazaniu tego, na co nas stać i którzy potrafią to zorganizować?

nia i kalkulacji. Nie zaś samych tylko uczuć, „świętych płomieni miłości" i „wyraźnych płomieni nienawiści".

Nadmierny emocjonalizm jest szkodliwym dziwolągiem, wiodącym do bezrozumności i bezkrytycyzmu — jeśli już nie fanatyzmu.

Natomiast nie powinno być na świecie człowieka, któryby kalkulacji owej, czy też dyskusji nie podejmował. Jeśli tego nie czyni, świadczy to o jego intelektualnym niedowładzie, o tym, że jest bezmyślnym zjadaczem chleba, o tym, że w ogóle nie rozumuje kategoriami świata, państwa, a najwyżej swojego własnego żołądka i to w prymitywnym i doraźnym sensie.

Jeżeli ta pani z rogu Piotrkowskiej i Struga chciała zamanifestować swój negatywny emocjonalnie stosunek do socjalizmu — jest tym samym śmieszna i anachroniczna.

Jeśli poza tym w ogóle nie zadaje sobie trudu podejmowania rozumowego tej kwestii — jest zwykłym zjadaczem chleba, którego nie interesuje — jako się rzekło — nic poza jego żołądkiem. Ale i w tym wypadku — jeśli nawet nie ma ambicji sięgania dalej, poza swój żołądek i garnek, w którym pichci dlań strawę — to i tak niezbyt mądrze zrobiła, wrzucając do kosza kilka czarno zadrukowanych kartek papieru. Traktowały one bowiem o sprawach jej żołądka.

„Wytyczne" zawierają m. in. informację, że w 55 roku „wcinała" ona 32,9 kg mięsa rocznie, w 57 — 39.4 kg, a za lat pięć jej garnek wygotuje (oczywiście jeśli jej indywidualne spożycie równe będzie polskiej przeciętnej) 49 kg mięsa. Nie wierzę by tej pani było wszystko jedno, czy zje o 10 kg befsztyków mniej, czy o dziesięć kilogramów więcej.

A jednak przecie — jak już powiedziałem — ten jej publiczny gest był w pewnym sensie zrozumiały. Nawykła ona przez lata do wielkich płacht gazetowych z zawartością przemówień co drugi dzień wygłaszanych wciąż o tym samym.

Był to więc gest niechęci, wyrażający brak kredytu zaufania dla zadrukowanej gazety jako takiej. Odruch bezwiedny, automatyczny zgoła. Nie zaś desinteressement dla takiej mnogości dobrych, wytaczanych w jajeczku i bułeczce befsztyków ,o których między innymi w tej konkretnej gazecie była mowa.

Gdyby owa pani — przedmiot niniejszych ataków — była moją żoną, wiele rzeczy, które bym jej chciał powiedzieć nie znalazłoby jej posłuchu (jak to wiem zresztą z zupełnie pewnego, bo osobistego doświadczenia). Ale gdybym pewnego dnia przyszedł i powiedział: „Słuchaj dokonałem obliczeń naszej rodzinnej pięciolatki: biorąc pod uwagę te i te czynniki wynioskuję, że zarobię o tyle i tyle więcej. Ale będziemy mieli jeszcze jedno dziecko co o tyle i tyle pomniejszy nasz dochód na głowę. Nasze inwestycje domowe obejmą dodatkowy pokój z nowym urządzeniem, telewizor, pralkę itd. Aby to osiągnąć zintensyfikuję pracę o tyle i tyle. Do teatru zaczniemy chodzić dwa, a nie raz na miesiąc, a to dzięki takim i takim oszczędnościom. Będziemy tego jedli o X kg mniej rocznie, tego a owego o Y kg więcej" — i tak dalej i tak dalej. A więc, gdybym wystąpił z takim obliczeniem, uzasadnionym i udowodnionym, sprawdzonym i sprawdzalnym — moja szanowna małżonka zrobiłaby „duże oczy" i słuchałaby z zapartym tchem.

Ale gdy przedstawiono jej takąż kalkulację pomnożoną do ogólnokrajowej i ogólnonarodowej skali — pani ta potraktowała je z pełną wzgardą. Wietrzyła bowiem znów abstrację nieprzetłumaczalnych i niesprawdzalnych „wzrostów procentowych", które lubo nic (dla niej) nie oznaczały lubo oznaczały nieprawdę. Żołądek zaś abstrakcji nie znosi.

Szanowna Pani! Chwileczkę dobrej woli. Jeśli nawet „Wytyczne" zmuszają do małego wysiłku związanego z abstrakcyjnym myśleniem (w sensie — uogólnionym myśleniem!) to przecież są to abstrakcje przetłumaczalne na konkrety.

Z tabelki ilustrującej stosunek produkcji na głowę ludności w Polsce do produkcji na głowę w świecie np. przędzy i włókien (świat 4,4 kg, Polska 8,5 kg) wynika i to, że pani mieć będzie nie dwie, ale trzy nowe suknie w roku.

Obecnie krowy nasze „produkują" 94,5 tysiąca ton masła rocznie, a za lat siedem dawać będą 138 tysięcy ton. To również da się zauważyć w Pani maselniczce.

Oto jest ta dziedzina spraw, które panią muszą obchodzić. I jeśli pani gestem swym dała do zrozumienia, że jej nie obchodzą — skłamała Pani, dobrodziejko. Skłamała zwyczajnie choć i bezwiednie — tj. nie wiedząc, co ów zadrukowany papier zawiera. (Określenia tego używam przy całej trapiącej mnie wątpliwości czy istnieje kłamstwo, gdy nie towarzyszy mu świadomość kłamstwa).

Jest natomiast dziedzina spraw, która, możliwe, na prawdę Panią nie obchodzi. Są to tak zwane kłopoty władzy, projekty wybrnięcia z wielu trudnych ekonomicznych problemów. Jak zarazem dać warsztat pracy dodatkowemu milionowi ludzi, którzy wejdą do produkcji zachowując jednocześnie pozytywne z punktu widzenia konsumcji proporcje między pulą inwestycyjną a konsumcyjną? Jak zwiększyć spożycie na głowę mieszkańca skoro ilość głów tych wzrośnie o dwa miliony? Jak tedy w świetle tych demograficznych zjawisk podnieść wydajnie stopę życiową ogółu?

Jak zarządzać przemysłem i rolnictwem, aby więcej dawały materialnych wartości? Jakim systemem te materialne wartości dzielić i wedle jakich proporcji...

Powiada Pani, żebym przestał. Że od takich rzeczy boli ją głowa? Dobrze. Tylko Panią i tak boli głowa, gdy rozwiązuje Pani analogiczne sprawy na swoim rodzinnym podwórku i w jednostkowej skali. Głowa Panią boli, ale się Pani mimo to nad rozwiązaniami takimi trudzi.

Powiada Pani na to, że w skali narodowej Pani nie musi. Są od tego wysoko Postawione Głowy. Niech myślą.

Zaraz, zaraz, tylko nie tak dawno — może dwa lata temu domagała się pani ludowładztwa i demokratyzacji. A dziś uchyla się pani bólem głowy?

Dobrze. Umówmy się więc ustalając minimalistyczną płaszczyznę: Okaże Pani trochę życzliwego zainteresowania i pozytywnej uwagi przedmiotom, o które innych głowa boli. I łaskawie również perspektywom zawartości Pani własnego garnka (wyczytanym z ogólnonarodowych planów).

Zrezygnuje też Pani ze zbyt energicznych gestów na rogu Piotrkowskiej i Struga. Nie dla meritum — dla przyzwoitości.

BELFER

W PIOTRKOWIE DNIEJE

(Dokończenie ze str. 1)

jednakże między Łodzią a Piotrkowem istotne sporne kwestie, które psują krew, i to niewątpliwie z winy silniejszego partnera: na przykład sprawa teatru lalek „Sezam". Ufundowany ze społecznych środków piotrkowian, cieszący się w tym mieście wielką sympatią, został lat temu parę z całym dobytkiem wchłonięty przez łódzkie „Pinokio". Po heroicznych walkach radnych z Piotrkowa, Wojewódzka Rada Narodowa zadecydowała wreszcie, by „Sezam" wrócił tam, skąd go zabrano. Daremnie: ktoś ma widocznie większe „chody" w Ministerstwie Kultury i uchwała WRN pozostała na papierze. W rezultacie Piotrków, który „za cara" już miał własny, prawdziwy teatr, teraz jest pozbawiony nawet teatru w miniaturze. Któż by tam poważnie brał hasło decentralizacji!

Piotrków zawsze był miastem o inteligenckim obliczu, a w końcu XIX wieku, w okresie rozkwitu pozytywizmu, stanowił nawet ośrodek poważnego ruchu intelektualnego. Związani z nim byli ludzie o bardzo znanych ówcześnie nazwiskach — Strączyński, Pawiński, Nencki. Lata międzywojenne nie były łaskawe dla Piotrkowa, wybitniejsi ludzie emigrowali, głównie do Warszawy. Dopiero ostatnie dziesięciolecie odwróciło ten proces „dezintelektualizacji". Do kręgu starszej zasiedziałej inteligencji, która dała Piotrkowowi przydomek „miasta emerytów", doszlusowały obecnie liczne kręgi inteligencji młodszej, głównie technicznej, w związku z poważnym rozwojem tutejszego przemysłu. Sławne niegdyś z rewolucyjnych wystąpień huty szkła „Hortensja", „Feniks" i „Kara", rozrosły się i uległy modernizacji. Zakłady bawełniane oraz Fabryka Maszyn Górniczych ściągnęły dalsze zastępy fachowców. Szereg pomniejszych fabryk również przyczyniło się do gospodarczej prosperity Piotrkowa.

Nie idzie z nią, niestety, w parze prosperity kulturalna. Tak zwane „środowisko" Piotrkowa, aczkolwiek liczne, jest mocno rozproszone, rozbite na wiele klanów profesjonalnych, które działając po partyzancku nie potrafią — czy nie mogą — zrealizować swych ambicji. Teatr od lat pozostaje w sferze iluzji. Towarzystwo muzyczne również nie może wyjść poza etap projektów, chociaż Piotrków jest miastem nader „rozmuzycznionym" a kiedyś, w latach pierwszej wojny światowej chlubił się nawet własną operetką. Dom Kultury nie zdołał przekroczyć schematycznych ramek. Środowisko plastyczne zapatrzone jest we wzory „starego dobrego malarstwa", które dziś mało kogo zdolne jest poruszyć: „Picassa — oświadczył jeden z prominentów kultury — wyświęcilibyśmy z naszego miasta". Stąd być może fiasko nielicznych wystaw plastyki, operujących tradycyjnym arsenałem środków artystycznych. Życie towarzyskie skupia się w jedynej (na pięćdziesięciotysięczne miasto!) kawiarni, przypominającej wyglądem dworcową poczekalnię. Wszelkie próby ożywienia życia kulturalnego zawiodły. Nauczycielstwo zamknęło się w swoim kręgu, technicy w nieźle pracującym kole NOT, młodzież gra w brydża i w ping-ponga w nędznej i brudnej klitce, szumnie nazywanej „klubem ZMS".

Na tym tle zaciemnionym wybija się grupa ludzi, młodych literatów, dziennikarzy, początkujących poetów, grupujących się przy regionalnym tygodniku o niezbyt pomysłowej acz dokładnej nazwie „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej". Jak na pismo o niewielkim nakładzie i wątłych możliwościach finansowych oraz technicznych, „Gazeta" robi w Piotrkowie świetną robotę. A raczej — zaczyna robić, gdyż owoce jej usiłowań jeszcze nie dojrzały. Pismo od pierwszej do ostatniej strony „żyje" swoim terenem i uporczywie dobija się do świadomości dość powolnych i ospałych mieszkańców grodu trybunalskiego, pragnąc wykrzesać z ich znanego patriotyzmu piotrkowskiego iskry większego entuzjazmu dla społeczno-kulturalnej działalności. Czas pokaże, co z tego wyniknie. Chwilowo wynikło kilka ciekawych debiutów pisarskich: Jaszczyńskiego, Bruchnalskiej, młodziutkiego Kaczmarka. E pur si muove!

A pismo robić „w terenie" nie łatwo. Stateczni piotrkowianie rzucili się zrazu, że nadto sensacyjne, co nie licuje z powagą murów miasta. Dlaczego powieść „Balowa suknia Renaty"? Przecież to dobre dla brukowca! Po co pisać o różnych niesmacznych skandalach, wywlekać brudne sprawy? Czy mało w dziejach Piotrkowa kart świetlanych, które warto by przypomnieć młodzieży gwoli nauce i dobremu przykładowi?

Szczęściem ludzie rozsądni wzięli górę — „Gazeta" porusza najtajniejsze nawet strony życia piotrkowskiego i dzięki temu zdobywa coraz większą popularność, buduje sobie wierny krąg sympatyków i... przeciwników, którzy, jak wiadomo, są równie stałymi czytelnikami.

Śmielszym jeszcze przedsięwzięciem młodej inteligencji był studencki kabaret, który pokusił się o przeniesienie na estradę tak nowatorskiego poety, jakim na piotrkowskie stosunki jest Konstanty Ildefons. Gromadka zapaleńców ze Studium Nauczycielskiego, jedynej tu uczelni „półwyższej", mimo atmosfery niezbyt sprzyjającej wszelkim poczynaniom wykraczającym poza ramy uświęcone szkolarskim programem, dała kilka przedstawień żywych, dowcipnych i ambitnych, ujawniając parę interesujących osobowości. W nowym roku kabaret ma zamiar szerzej oprzeć się na własnych tekstach, skierować satyryczne ostrze przeciw miejscowym stosunkom, śmiesznostkom i osobistościom. Będzie z tego kwasów co niemiara...

Ale na kwasie, jak wiadomo, i chleb można upiec. Serdecznie życzę pomyślnego wypieku (bez zakalca!) młodym piotrkowianom, którzy pragną przywrócić swemu sympatycznemu miastu chociaż część blasku, jaki bił stąd na Polskę przed czterema wiekami.

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

Suplement piotrkowskich plotek

REAKCJA

Wystawa reprodukcji dzieł Matejki, z dużym nakładem starań zorganizowana przez piotrkowskich plastyków hołdujących malarstwu figuratywnemu, spotkała się z krytyką ze strony miejscowych władz. Zarzucono jej... klerykalizm (bo na obrazach Matejki krzyż jest częstym akcesorium) oraz... nacjonalizm (bo przy wejściu na salę wystawową wisiała flaga narodowa). Wniosek? Przerzucić się na taszyzm!

REKORD

Dwaj inżynierowie, którzy na wieży ciśnień montują stację przekaźnikową telewizji, dziewięciokrotnie pokonali już swymi nogami wysokość Mount Everestu.

SENTYMENT

Najbardziej znani i cenieni w Piotrkowie współcześni polscy pisarze: Konwicki (akcja „Władzy" dzieje się m. in. w Piotrkowie), Szmaglewska (tutejsza „rodaczka") oraz Koprowski (opiekun młodych twórców piotrkowskich z ramienia literatów łódzkich).

SENSACJA

Jeden z młodych inżynierów, który studiował w Pekinie, przywiózł do Piotrkowa młodą i śliczną żonę, autentyczną Chinkę.

LOGIKA

W Sulejowie, kilkadziesiąt metrów za granicą województwa łódzkiego wznosi się kompleks gmachów pięknego klasztoru pocysterskiego. Piotrkowskie społeczeństwo chciałoby się nim zaopiekować, ale niestety, na przeszkodzie stoją względy formalne: inne województwo. Dla kieleckich władz konserwatorskich klasztor jest ciężkim balastem. Rezultat łatwy do przewidzenia. Klasztor, cenny zabytek architektoniczny, niszczeje.

SPOSOBY

Piotrkowianie skolonizowali Warszawę, zajmując szereg eksponowanych stanowisk. Kiedy dyrektor, Fabryki Maszyn Górniczych, poseł Nowakowski ma coś do załatwienia u swego Ministra, Klejstuta Żemajtisa, zaczyna zwykle od formuły: „Panie Ministrze, przecież Pan też jest piotrkowianinem".

OPINIA

Organizacja Związku Nauczycielstwa Polskiego w Piotrkowie jest drążona przez wpływy klerykalne. Jej prezes oświadczył — jak mówią — że „nie ma zamiaru apostołować świeckości szkół".

TRADYCJE

Chuligaństwo, notabene dość dokumentnie wyplenione z Piotrkowa, ma tutaj szczególnie bogate tradycje historyczne. W XVIII wieku toczyła się tu prawdziwa wojna, rozgrywana przy pomocy „palcatów" czyli tęgich kijów, między uczniami dwóch szkół rywalizujących — jezuickiej i pijarskiej.

REKOMPENSATA

Piotrków posiada o jeden wielki zakład przemysłowy mniej i o jeden więcej, niż mieć powinien. Tomaszowska Fabryka Sztucznych Włókien miała początkowo powstać w Piotrkowie, lecz zaprotestował przeciw temu carski gubernator, który bał się żeby ścieki zatrują powietrze w dzielnicy Bugaj, dokąd lubił on udawać się kolasą na popołudniową przejażdżkę. Natomiast Fabryka Maszyn Górniczych projektowana była na Śląsku, lecz nie znaleziono już dla niej odpowiedniego miejsca między setkami innych zakładów.

EPOPEJA atomowego sumienia

E = M razy 300.000². Albert Einstein, ojciec nowoczesnej fizyki jądrowej gwarantując prawdziwość tego niepozornego wzoru całym autorytetem swej wielkiej wiedzy i geniuszu, opatrzył go nadto komentarzem: „Ustrój społeczny ludzkości nie dojrzał do odkrycia tej największej tajemnicy przyrody. W rękach dzisiejszego człowieka może się on stać tym czym zapałki w rękach niegrzecznego dziecka".

Zaraz potem prasa, zwłaszcza amerykańska, ryknęła wielkimi czcionkami tytułów: „nieprzebrana energia zawarta w jądrze atomowym zdolna jest nie tylko zgładzić cywilizację ale nawet spalić atmosferę ziemską. Wzór wyjaśniał potęgę i grozę tej tajemnicy — E (energia) równa się M (masie) pomnożonej przez kwadrat prędkości światła. A więc energia jednego grama równa się efektowi eksplozji tysiąca ton klasycznego materiału wybuchowego!

Krótki był czas pozostawiony dziennikarzom na zdyskontowanie wielkiego odkrycia. „Atomowa hossa" szybko zniknęła ze szpalt prasy. Niewidzialna ręka starannie wymazała ze statystyk wszystkich krajów kopalnictwo uranowe, a z pamiątkowych ksiąg uniwersytetów skreśliła dane o pracowniach fizyki jądrowej.

Dr Heinrich Klemme, fizyk atomowy, rozpoczynając w 1939 r. swą naukową pracę w hamburskim laboratorium prof. Orbi składał już specjalną przysięgę. Charakter jego pracy opatrzony był żargonową formułą: „ściśle tajne badania szczególnej wagi". Rezultatami jego pracy interesowała się Kancelaria Rzeszy i Naczelne Dowództwo Armii. Elita kręgu najwyższego wtajemniczenia! Zielona droga dla zawrotnej kariery młodego naukowca!

Cóż robić jednak, gdy sumienie ludzkie wylamując się z szablonów sławy ponad wszystko, konfrontuje efekty geniuszu techniki z obłąkaniem form społecznych. W wewnętrznym bólu poznawania prawdy Heinrich Klemme odkrył swoje sumienie: on, forytowany doskonale zapowiadający się naukowiec, zrozumiał w sposób ostateczny i nieodwracalny — nie mógł zostać ludobójcą! Klemme nie był komunistą. Ale Klemme rozumował formułami, których wynik musiał być rezultatem prawdziwych założeń. Faszyzm głosił powszechną nienawiść i wojnę o panowanie „narodu panów" — komunizm głosił pokój i zdecydowany był go utrzymać. Energia atomowa w rękach faszyzmu — to zagłada. Energia atomowa w rękach komunizmu — to wielkie elektrownie i nawodnione pustynie — to praca i chleb dla milionów ludzi. Wzrok młodego asystenta hamburskiej pracowni atomowej zwrócił się na Berlin. Tam, gdzie od kilku tygodni zło święciło jeszcze jeden triumf. Zło, niecierpliwie nagabujące go o „cudowną broń", którą na wieczną chwałę swoją I III Rzeszy miał ulokować w wyrzutniach jego „Junkersów". Zdecydował. Wara tym, którzy jego wewnętrzne zmagania skwitują państwowotwórczym frazesem o zdradzie!

Dramatyczna rozmowa z szefem, w której Klemme ujawnił swój protest przeciw ludobójczym założeniom nauki odbyła się w lipcu 1941, gdy Niemcy stali u bram Kijowa. Mechanizm ustroju totalitarnego jest nieubłagany. Gdy odwraca się karta losu, gnębi człowieka proporcjonalnie do jego zasług i znaczenia. Klemme powołany był do zabijania. Klemme nie mógł więc pracować nad atomową energią w służbie pokoju. Jeżeli Klemme nie chce zabijać bolszewików bombami atomowymi — będzie ich zabijał z pruskiego automatu.

Ale hitlerowski mundur w którym Klemme — leutnant dywizyjnego baonu saperów pojechał najbliższym transportem na wschodni front, nie był w stanie zmienić jego decyzji oddania się w ręce Rosjan i przekazania im całego swego doświadczenia. Łatwo jest jednak przejść na stronę przeciwnika, gdy ten idzie naprzód — trudniej, gdy się cofa.

Tymczasem bieg zdarzeń katastrofalnie zaciążył nad losem młodego naukowca. Jego były zwierzchnik, prof. Orbi, udał się do Norwegii, gdzie przeprowadzał badania w zakonspirowanym laboratorium pracującym nad wodorową wersją bomby. Stamtąd porwali go „żywcem" angielscy komandosi. Gestapo zrozumiało, że sekret badań atomowych dawno wyswobodził się z magicznych zaklęć tajnych kancelarii. Zaczęto gorączkowo zestawiać listę wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek i cośkolwiek mieli wspólnego z prof. Orbi. Pierwszym na tej liście był Klemme.

Sturmbannführer SD Greiws zebrawszy najbardziej niezbędne dane, opatrzony wszelkimi pełnomocnictwami wysokich czynników, niezwłocznie udał się na front, gdzie według danych naczelnego dowództwa rodzima jednostka Klemma „łamiąc opór bolszewików zbliża się do Moskwy". Tego samego mniej więcej dnia ranny i wykrwawiony Klemme przeczołgiwał się lasem ku stanowiskom radzieckim. Pech chciał, że gdy zaledwie zdołano go opatrzyć w improwizowanym szpitaliku, zanim mógł znaleźć dość przytomnego rozmówcę — do miasteczka wtargnęła czołówka niemieckiego natarcia. W bitewnym ferworze zdołał tylko wymienić swe dokumenty z dokumentami poległego niemieckiego leutnanta — Stolza i zapukawszy do najbliższego mieszkania stracił przytomność na jego progu.

Sanitariusze niemieccy pochowali Stolza i opatrzyli jego grób — zgodnie z dokumentami — nazwiskiem Klemma. Do dowództwa dywizji poszedł odpowiedni raport, aby od razu trafić w ręce urzędującego tam od paru godzin Greiwsa. Greiws mógłby czuć się usatysfakcjonowany tą relacją o „śmierci na polu chwały", gdyby nie to, że misja jego miała wagę szczególną, a więc nie mogła zawierać żadnej formalnej luki. Świeży grób Klemma został więc rozkopany. Już wzrost poległego wzbudził w Greiwsie podejrzenia. Dokładniejsze oględziny ujawniły plik korespondencji adresowanej do niejakiego Stolza. Sprawdzono: leutnant Stolz, oficer batalionu szturmowego zaginął i prawdopodobieństwo jego śmierci w miejscu znalezienia zwłok było niewspółmiernie większe niż możliwość znalezienia zwłok Klemma, działającego na innym odcinku. Greiws chwycił wątek zbrodni przeciwko führerowi...

Zwłoki Stolza znaleziono na ulicy koło szpitala. Tu musiała nastąpić „wymiana" dokumentów. A skoro było to obok szpitala, Klemme był ranny. A skoro był ranny — musi wiedzieć coś o nim jedyny tutejszy lekarz — aż do wkroczenia Niemców pilnujący swych chorych. Umysł Greiwsa pracował z pruską precyzją. Strzał znów był celny...

Bardzo celny. Tok rozumowania Greiwsa był spóźniony zaledwie kilkanaście godzin do chwili, w której lekarz rosyjski skończył lekturę zapisków Klemma, pozostawionych przez niego w ambulatorium. Pojęcia lekarza o fizyce atomowej nie były wprawdzie bardziej zaawansowane, niż wyobrażenia starożytnego Demokryta, ale nieomylnym instynktem humanisty wyczuł ogromne znaczenie tych notatek. Starannie opakowawszy, powierzył je zaufanemu komsomolcowi z poleceniem przedarcia się przez linię frontu i doręczenia władzom. Równocześnie zaczął energicznie poszukiwać rannego Niemca. Znalazł go w chwili gdy pruska logika Greiwsa wyprowadziła swój wniosek. Gdy Klemme pod opieką jedynej córki lekarza próbuje przedrzeć się lasem do niedalekich stanowisk radzieckich, lekarz zostaje aresztowany i nie wytrzymuje bestialstwa tortur, popełnia samobójstwo. Wiedziony czujnym węchem policyjnego psa Greiws idzie w przypuszczalny trop i penetruje przyfrontowy las. Tu, wraz z przydzielonymi ludźmi zaskakuje go lokalny kontratak radziecki. Gdy wściekłość jego zdaje się już bezsilna — ofiara sama wpada mu w ręce! Zaczajony w leju po bombie widzi, jak do radzieckiego czołgu podbiega niemiecki oficer. Rozpoznaje w nim Klemma. Zrywa się. Oddaje śmiertelny strzał w sprawie najwyższej wagi, w sprawie zwycięstwa „narodu panów". Na odwrót jest już za późno. Drugą kulę pakuje w swój łeb.

Na podstawie M. Żdanowa „W kręgu tajemnicy" (Moskwa 1957) opracował O. L.

Za tydzień:

Wariant „A" — trick niemieckiego wywiadu

Wkrótce:

Amerykańska doktryna atomowego odwetu

Generał Mosze Dajan, jednooki dowódca armii Izraela przeprowadza inspekcję oddziałów komandosów

EDWARD CASTEL

WOJNA O SUEZ (IV)

W tym odcinku cofniętym w zdarzeniach o kilka dni, dowie się Czytelnik w jaki sposób Izrael zapewnił sobie lotniczo-morską osłonę obcą, umożliwiającą skoncentrowanie wszystkich sił własnych do błyskawicznego uderzenia na Egipt. Dowie się Czytelnik również, w jaki sposób Francja usiłowała zagwarantować swe wpływy w strefie Kanału Sueskiego i kiedy zdecydowano o „akcji policyjnej" anglo-francuskiej, ogłoszonej oficjalnie jako pokojowy akt rozdzielenia dwóch walczących stron.

22 października. Godzina 8.45. Komendant lotniska nie ukrywa swego wyraźnie złego humoru. Nie dość, że pogoda jest prawdziwie jesienna — przez całą drogę do Villacoublay musiał przebijać się przez gęstą mgłę. — Już to samo może człowieka wytrącić z równowagi. A tu jeszcze wszystko mu w ostatniej chwili zdezorganizowali. Cały rozkład lotów przewrócony do góry nogami. Słyszane rzeczy, żeby zamknąć lotnisko nawet dla samolotów wojskowych? I to dlaczego? Bo ma przylecieć jakiś tam cywil! Oczywiście wszystko w ostatniej chwili, i nikogo nie obchodzi, jak on — komendant — sobie z tym poradzi. Jeszcze mu napchali tajniaków, którzy snują się wszędzie i tylko przeszkadzają. Wściec się można. Dobrze przynajmniej, że mgła się podniosła. Wprawdzie te nowe urządzenia do lądowania bez widoczności są niezawodne i dotychczas nie było ani jednego wypadku, zawsze jednak lepiej obejść się bez nich. Zwłaszcza dziś. Bo musi to być jakaś gruba szyszka, skoro aż takie przygotowania. Nawet on — komendant lotniska — nie wie, kto i skąd. „O 9.00 wyląduje samolot. Dla wszystkich innych samolotów lotnisko zamknięte". Tylko tyle. To i dobrze. Mało go obchodzi, co tam te polityki kombinują. O, już nadjeżdżają — coś skromnie, tylko jeden samochód, i to bez żadnych znaków. Ale maszyna wspaniała, na pewno ktoś ważny. Zaraz, zaraz... przecież to Mollet. No, no — sam premier na lotnisku! Coś się tu szykuje niezwykłego. Aha, mamy i gościa — trzeba przyznać, że punktualny. Dokładnie dziewiąta. Lepiej zakamuflować to już się chyba nie mógł — kapelusz nasunięty na oczy, szalik... No, pojechali sobie.

* * *

— To ja, Raoul. Słuchaj, musisz mnie natychmiast skontaktować z tym Amerykaninem... Tak, natychmiast... Nie zadawaj niemądrych pytań. I przygotuj się do wyjazdu... Na zawsze. Może to, o czym marzyliśmy, wreszcie się ziści... Wszystko zależy od rozmowy z nim... Jak najszybciej... Tak...

Zmusił się do odczekania, zanim nacisnął dzwonek. Nie potrzebnie pędził po schodach. Trzeba jednak było jechać windą, właśnie to nie budziłoby podejrzeń. A zresztą — diabli tam, jeśli się uda, i tak jutro już go tu nie będzie, a jeśli nie — to cóż się zmieni? Pozostanie nadal dobrze zapowiadającym się urzędnikiem państwowym, który spokojnie patrzy w przyszłość i liczy dni do emerytury. Ubrał twarz w spokój. Usłyszał kroki, w judaszu pokazało się oko, drzwi się otworzyły. Mogę jeszcze się cofnąć — pomyślał, wiedząc, że już się nie cofnie — i przekroczył próg.

— Mam informacje, które dla was są niewątpliwie nadzwyczajnej wagi. Nie mam żadnych dowodów, żadnych dokumentów. Jest to kwestia pańskiego zaufania do mnie. Za wiadomości te absolutnie ręczę. Wie pan, kim jestem i nie muszę wyjaśniać, skąd mam te informacje... tak, ale płatne nie tutaj — miałbym trudności z ukryciem takiej sumy na wypadek rewizji — jak pan widzi, i ja całkowicie panu ufam — jeśli tam nie dostanę tych pieniędzy, pozostanie mi tylko jedno...

— Paryż jest miastem plotkarskim. Mimo nadzwyczajnych zastosowanych dziś środków ostrożności, żeby zachować incognito naszego gościa, przebąkuje się o przybyciu jakiegoś przedstawiciela Izraela, niektórzy wymieniają nawet nazwisko — Mojsze Sharett. Słyszał pan to? Nie, to nie był Sharett — naszym gościem był dziś sam Ben Gurion!

Wizytę swoją uzgodnił z Molletem wczoraj, telefonicznie. Nalegał na spotkanie w jakimś miejscu ukrytym — w żadnym razie nie chciał przybyć do naszego Urzędu. Wylądował o dziewiątej rano na lotnisku w Villacoublay — wie pan, między Paryżem a Wersalem. Mollet czekał tam na niego. Rozmowy trwały do południa — byli sami. Wiem jednak z całą pewnością, co zostało ostatecznie ustalone w sposób wiążący.

Od dłuższego czasu Tel-Aviv naciskał nas, by zrezygnować z interwencji, żądając równocześnie zapewnienia osłony z powietrza. Argumentacja ich, nie pozbawiona logiki, była jednak dla nas nie do przyjęcia. Żądali zaangażowania naszych sił lotniczych w sposób zupełnie wyraźny, co dla nas możliwe było tylko pod pozorem akcji policyjnej dla rozdzielenia walczących stron, a tej akcji policyjnej właśnie nie chcieli. Sytuacja nasza — Paryża — była szczególnie trudna, bo musi pan pamiętać o stanowisku Edena, który absolutnie wykluczał współdziałanie z Izraelem, tak że nawet w wypadku dojścia do skutku ekspedycji anglo-francuskiej, pomocy Izraelowi moglibyśmy udzielić tylko my sami, na własną rękę, a Anglicy w najlepszym razie gotowi byli „przymknąć oko".

Dzień w dzień mieliśmy telefon z Tel-Avivu z powtarzanym uporczywie ciągle tym samym żądaniem: dajcie nam osłonę, ale zrezygnujcie z interwencji.

Sytuacja nasza powtarzam była diablo trudna. Z jednej strony do interwencji potrzebna nam była wojna na tych terenach, którą Izrael gotów był rozpocząć, ale przy naszej pomocy, z drugiej Izrael nie chciał naszej bezpośredniej interwencji i zachodziła obawa, że może wojny nie rozpocząć, jeśli nie otrzyma zapewnień, że nie będziemy interweniowali. Mogliśmy oczywiście przerwać rozmowy i liczyć na to, że Tel-Aviv zdecyduje się na wojnę również i bez naszej osłony — wiele na to wskazywało. Mielibyśmy wówczas wolną rękę. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że bez naszego lotnictwa Izrael natychmiast poczuje całą siłę lotnictwa egipskiego i zawoła o ratunek w układzie, który wykluczałby już jakiekolwiek targi, i wówczas odpowiedzielibyśmy, ratujemy, interweniując. Przesłanką interwencji była jednak znajomość dokładnej daty rozpoczęcia wojny, gdyż na to, żeby być na miejscu we właściwym do interwencji czasie, należało rozpocząć przerzuty i koncentrację sprzętu i ludzi o wiele tygodni wcześniej. Bez porozumienia z Tel-Avivem daty tej nie mogliśmy być pewni. Zachodziła również obawa, że w takim wypadku przeważą u nich głosy, wskazujące na potęgę lotnictwa egipskiego, i do wojny w ostatniej chwili nie dojdzie, a więc nie będzie podstaw do interwencji. Na szczęście w niektórych kołach w Izraelu, zwłaszcza wojskowych, możliwość naszej interwencji nie była widziana źle, i umieliśmy to wykorzystać.

Dziś Mollet i Ben Gurion doszli ostatecznie do porozumienia. Ben Gurion ustąpił: ofensywa Izraela dojdzie tylko do Kanału, a nie do Kairu, jak to było zamierzone. Korpus ekspedycyjny anglo-francuski będzie interweniował. Izrael mobilizuje dwudziestego piątego. My dajemy osłonę — lotnictwo i marynarkę...

c. d. n.

Siedmiu myśliwych

Dokończenie ze str. 1

pętać po polu czy po lesie, po co ma się na wiosnę stać rodzicami cherlawego potomstwa, po co wreszcie ma ją skonsumować jastrząb czy pies przybłęda, kiedy może to zrobić człowiek?

Gdyby historię myślistwa wywodzić od początku, to do kulminacyjnego punktu reportażu o polowaniu na dziki w lasach powiatu piotrkowskiego doszlibyśmy prawdopodobnie za kilka lat. Historia łowów jest stara jak historia ludzkości. A to o czym autor chce opowiedzieć będzie tylko jednym zdarzeniem, nad którym nauka przejdzie obojętnie do porządku. Były dziki, nie ma dzików, ot co!

POJEDZIEMY NA ŁÓW

Zaczęło się oczywiście od telefonu. Dzisiejsi myśliwi nie zwołują się trąbieniem na rogu „długim, centkowanym, krętym" i nie walą w bębny, a po prostu telefonują.

— Chce pan jechać z nami na dziki? Uprzejmie prosimy! Niedziela rano. Lasy koło Piotrkowa.

Jadę więc. Bogu ducha winny cywil, w samochodzie pachnącym prochem, a uzbrojonym jak średni krążowni". Radio gra, a oni snują myśliwskie opowieści tchnące smętkiem i grozą.

— Pamiętasz — powiada pierwszy — jak to jeden dzik posadził na drzewie siedmiu myśliwych?

— Pamiętam — wzdycha ten drugi — to było nawet gdzieś tutaj koło Sulejowa. Rozpędziła się jucha, bo dostał jeden, drugi, trzeci postrzał, rozeźliło go i zaczął szarżować. Jeden myśliwy skoczył na drzewo, dzik runął na drugiego, potem na trzeciego i tak do siedmiu. Ten siódmy to już nawet nie miał gdzie wleźć, bo sosenka była mizerna i trzeszczała pod tym myśliwskim sekstetem wzywającym ratunku, więc powiesił się na rękach na gałęzi i wrzeszczał machając nogami:

— A dajcie mi tylko dobrą fuzję, to go psiakrew zastrzelę!

No zobaczymy, myślę sobie, ostatecznie ile to bym miał tych nekrologów?

Raz, dwa, trzy, od redakcji taki większy, że odszedł „nasz utalentowany, rokujący nadzieję", i że na posterunku. Trudno, cóż robić, dzik, wiadomo, był i jest świnią.

Ostatecznie mogę go zdzielić aparatem przez łeb.

CZEKAJĄC NA DZIKA

Czekając na dzika jeden myśliwy zabił lisa. Trafił go kulą, więc rudy rabuś, czyściciel lasów, czy jak go tam jeszcze zwą, ani zipnął. To był pierwszy i ostatni lis. Teraz przeczesujemy pachnące jak fabryka terpentyny zagajniki sosnowe, bo na piaszczystej dróżce wytropiono ślady racic. Zdania były podzielone czy to łanie, czy dzik z warchlakami. Ale to się pokaże.

Hu, hu, kota! kota! — ryczy nagonka klekocąc po pniach kijami, aż nagle dolatuje wściekłe ujadanie psów. Jakiś chłopak z nagonki dosłownie wlazł na odyńca śpiącego z ryjem ukrytym w igliwiu. Teraz zwierzę gonione przez psy pędzi prosto na linię myśliwych. Pada pierwszy strzał. Chybiony. Kiedy dzik przeskakuje dukt i jest już po drugiej jego stronie pada śmiertelny strzał ze sztucera. Ciszę jesiennego popołudnia przerywa głos trąbki. Ale myśliwych zwoływać nie trzeba. Wiedzą, że dzik musiał paść i biegną gnani ciekawością.

OPERACJA KONIECZNA

Obejrzeli. Ładny. Zapytali czyj. A właściwie nie wiadomo. Strzelało dwóch.

Któż rozsądzi? Chodzi o rzecz nieblachą, o pięknego dzika i jeszcze cenniejszy myśliwski laur.

Nie ma co czekać! Wyciągają myśliwski nóż, ostry jak brzytwa i zaczyna się operacja. Jest ciepło, więc dzika należy natychmiast pozbawić wnętrzności, bo mięso może ulec zepsuciu. Przy okazji pokaże się też kto zabił. Patroszenie przebiega błyskawicznie i już po chwili widać tylko jeden otwór po strzale ze sztucera. Tamten pierwszy spudłował! Gałązka sosnowa umaczana we krwi zatknięta będzie za kapeluszem pana Edwarda.

Polowanie trwa. W następnym miocie dzików nie ma. Uciekły bokiem zostawiając świeżutkie tropy. Nagonka okrąża przypuszczalne legowisko zwierzyny. Dzieje się tak kilka razy, aż wreszcie linia myśliwych grzmi strzałami raz po raz. Z trzech dzików padają dwa. Do jednego strzelał młody chłopiec, który po raz pierwszy brał udział w polowaniu. To właśnie „jego" dzik po chwili odurzenia zerwał się na równe nogi i zniknął w knieji. Chłopak omal się nie popłakał. W tym miocie padł drugi, odyniec, ostatni tego dnia.

ZAPRASZAMY NA WĄTRÓBKĘ

W tych wszystkich poczynaniach myśliwskich piszący te słowa brał udział bierny, tzn. fotografował i emocjonował się polowaniem oraz zbierał maślaki. Teraz miał zetknąć się z dzikiem oko w oko. Zapadł chłodny, październikowy zmierzch. Myśliwi zeszli ze stanowisk. W odległej gajówce znaczącej się na na horyzoncie smugą błękitnego dymu smażyła się wątróbka z dzika.

„Kiedy swego czasu,
Goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu
Cały obiad daje".

Powiada tak stare myśliwskie przysłowie. Tym razem nie będzie to obiad, ale kolacja. Muszę państwu powiedzieć, że dzik na talerzu nie wygląda już tak groźnie jak w lesie i tak jakoś o wiele smaczniej. Jak się spożywa wątróbkę z dzika? Spożywa się najlepiej z jałowcówką lub tarninówką. To nie jest żaden alkoholizm, to tradycje i środki profilaktyczne po jesiennym zziębnięciu. Czy dzik jest smaczny? Wątróbka, płuca, serce wspaniałe! Mięso podobno odrobinkę mniej dobre. Najlepsza jest kiełbasa z dzika. Nasi myśliwi dostarczyli jednak jednego odyńca w całości do punktu skupu Spółdzielni „Las". Może pojedzie na eksport? Drugi pozostał na wsi. To był 18 dzik pana Edwarda.

W następną niedzielę znów zagrzmią strzały. Stara polska tradycja, która ma w Łodzi dwa tysiące podkomendnych, odżyje w lasach i na polach wraz z odwiecznym myśliwskim zawołaniem: DARZ BÓR!

Przeżywał, pisał i fotografował

WIESŁAW MACHEJKO.

Nasi handlowcy, jak i wszyscy, zachorowali ostatnio na Europę. A że Europa — to i reklama, no bo wiadomo — dźwignia handlu, nowoczesność i coś tam jeszcze. Jako że od niepamiętnych czasów krzyk był najprostszą metodą zwracania na siebie uwagi, również i handlowcy sięgnęli po ten wypróbowany środek, tym bardziej, że neony psują się nieustannie. Wyruszają więc na ulice miast stare ciężarówki, zaopatrzone w mikrofony, jakiś zachrypły głos roztacza przed publicznością wspaniały miraż domów towarowych, skoczna melodia umilić ma życie przechodniom. Aż serce rośnie na widok tych wysiłków. Wszystko dla klienta.

Również i organizatorzy wszelakiego rodzaju loterii fantowych, gier liczbowych i temu podobnych uciech pozazdrościli laurów handlowcom. Opowiadają więc mikrofony o szczęściu, które każdego obywatela PRL spotka niechybnie, pod warunkiem jednakże, iż kupi los. I znów skoczne tony. Żyć nie umierać!

Ale nasz poczciwy wiek XX przebiega nie tylko pod znakiem reklamy. Mówi się również coraz częściej o walce z hałasem. Z jakiej właściwie racji mieszkańcy miast mają wysłuchiwać samorodnych twórców spod znaku domów towarowych? Nerwy przechodnia też mają pewne znaczenie. Przy pomocy tam-tamów czarodzieje ekscytują murzyńską wioskę. Natomiast dzikie wrzaski ze zradiofonizowanych samochodów, cudowna antyreklama pomysłowości inicjatorów, powinna być karana takim samym mandatem, jak i każde inne zakłócenie spokoju publicznego.

Obsesjoniste

Z rzeźni paryskiej zbiegł 5-miesięczny źrebak. Uciekając przed biegnącymi za nim rzeźnikami, źrebak schronił się na stacji metro, wśród tłumu ludzi. Zaalarmowane towarzystwo opieki nad zwierzętami wykupiło za wysoką cenę źrebaka wraz z jego matką. Pieniądze otrzymane od towarzystwa rzeźnia obróciła na zakup kilku innych źrebaków.

* * *

Na pustyni australijskiej pozostawiono 50 lotników, zaopatrzonych jedynie w noże i wędki. W ciągu pięciu dni mieli oni sami zdobywać sobie pożywienie: ryby, króliki i szczury. Eksperyment powiódł się.

* * *

Bramkarz czechosłowackiej drużyny „Dynamo", Dolejski, w czasie meczu w Anglii wybijając piłkę po aucie bramkowym strzelił bezpośrednio gola przeciwnikom — drużynie Grimsby. Tego rodzaju wypadek zdarzył się poprzednio w Anglii w roku 1900, w czasie meczu Map. City — Sunderland.

28-letni robotnik z Nowary, we Włoszech północnych, oświadczył pewnego wieczoru przyjaciołom, że nie może dłużej żyć ze wstydu, ponieważ wyłysiał. Przyjaciele nie przyjęli oświadczenia zbyt poważnie. W nocy człowiek ów powiesił się.

POWIEDZIELI

Konserwatywny premier brytyjski Macmillan tak wyraził się o swoich przyjaciołach konserwatystach: za wielu ludzi żyje za bardzo w przeszłości. Przeszłość musi być trampoliną, a nie kanapą.

⊙

Głośny do niedawna przywódca sklepikarzy Poujade zabrał głos na temat de Gaulle'a: z pomocą Boga, który na pewno jest także gaullistą, generał będzie dążył teraz do pogodzenia z sobą rzeczy nie do pogodzenia, a więc spróbuje dać satysfakcję chrześcijanom lub marksistom, liberałom lub kolektywistom.

zdarzenia

W fabryce Oakland, w stanie Kalifornia, zastrajkowało 80 niewidomych, żądając podwyżki płac.

■

W tych dniach w Paryżu ukaże się pierwszy numer „Sonoramy" — miesięcznika, który czytać się będzie... uszami. Dział aktualności składać się ma z sześciu płyt: przemówienia de Gaulle'a, nowej piosenki itp. Eksperyment ten uchodzi za nader interesujący. Czyżby miała to być prasa przyszłości?

STANISŁAW CZERNIK

Oleandry i ryby w ATLASIE

1

Afryka Północna pokryta jest uedami. Są to umarłe rzeki. Cała kraina mierzy się ich nędzą i pięknem. Ued przeciwstawia się rzeczywistości. W urodzajnych równinach nadmorskich na-

Przylądek Zbiegów

rzuca się w postaci skalnych wąwozów, drapieżnych kaktusów, kolczastych agaw, kamienistych den, jest rzecz nikiem pustyni: pomarańczarniom i winnicom przypomina surową dolę ugrzęzłych w piasku tamaryszków. W Atlasie ued górski niepokoi zarośla ubogich, dzikich oliwek, nędzne laski biednej sośniny i osmętniałe krzewy jałowca. Jest bogaty, bujny i barwny gąszczem oleandrów, falą różową, która zamiast wody biegnie w poprzek gór. Ued pustyni — oaza — jest rajskim przeciwieństwem potęgi diun i martwych gór, roztaczając słodycz i potęgę życia w postaci ogrodów palmowych.

Spośród tych trzech rodzajów wybrałem ued różowych zarośli w Atlasie. Tak się złożyło, że ued miał się połączyć z hiszpańszczyzną. Po wojnie domowej wielu uchodźców hiszpańskich znalazło przytułek w Algierze. Rozproszyli się po miastach i miasteczkach, poszli w pustynię i góry.

Podejrzewam, że przekorny duch Cervantesa krąży nad osiedlami Hiszpanów na wygnaniu. On pewnie sprawił, że z poważnej wycieczki w kraj oleandrów powstała tylko humoreska.

2

Naczelny bohater tej wyprawy szczycił się uczciwym, staropolskim nazwis-

kiem. Nic ze starej ani nowej szlachetczyzny. Więc nie Jastrzębiec ani herbowy Skowron, Orlicz lub Sokolnicki, lecz chłopski, proletariacki Podrazik.

Miał w sobie jurność mazurską i czupurność bitnego wróbla, jak w piosence ów Maciek, co to już umarł i leży na desce.

Podrazik był wspaniałym artystą stolarzem i jak cała brać artystyczna znakomitym popijbratem. Bar, mały koniaczek, wino czerwone, różowe i białe — i nasz Podrazik stawał się hulajduszą, jak Farys na pustyni: orły z drogi, sokoły i jastrzębie herbowe, i cała szlachta emigracyjna z drogi.

Ale ponad bar i działanie przeciw klasom uprzywilejowanym Podrazik przekładał sport wędkarski. Ten jurny zawalidroga i bojowiec, przy wędce i rybce zmieniał się nie do poznania. Cichutki i zadumany Mazurek mógł siedzieć całymi dniami nad wodą. Nie tęsknił wtedy za barem, ani za towarzyszami, żył jak św. Franciszek z Asyżu w łagodnej sferze marzeń.

Gdy śledził kręgi na wodzie, zbliżanie i oddalanie się rybek, nie miał w sobie nic z drapieżcy. Nie chodziło mu o złowioną rybę. Oddawał je byle komu.

Podrazik twierdził, że przy wędce myśli o rzeczach głębszych niż woda. Nad strumykiem stawał się filozofem i poetą.

Źle ułożyły mu się losy. Natchniony rybak powinien był zastawiać sieci w Wiśle lub Narwi. Byłby może szczęśliwy. Popłatna praca na obczyźnie i wędrówki z towarzyszami od baru do baru nie przynosiły mu pełnego zadośćuczynienia.

Ale co roku Podrazikowi przypadał miesiąc wakacji. Nasz przyjaciel przeznaczał go na swój „raj". Wszystkie dni spędzał nad wodą. Świat go wtedy nie obchodził. Mogło nawet baru nie być w pobliżu. Nie cierpiał zbytnio. Bo w raju bar nie jest konieczny.

Taki był nasz przyjaciel Podrazik, pierwszy bohater wyprawy w góry Atlasu.

3

— Niepospolity człowiek ten Perez, najczystszy Hiszpan. Wypędzony z ojczyzny — przedstawiał Podrazik. — Przyjaciel serdeczny i idealny. Dusza—człowiek. Kocha Polaków jak braci. Teraz mieszka w górach Atlasu, ma miłą córkę, szczęśliwa żona mu zmarła. Właśnie przyjechał niespodzianie. Niepospolity kompan. Don Perez zaprasza nas do siebie na wakacje.

— Czego się nie robi dla przyjaciół — potwierdził uroczyście sam Perez. — Przyjedźcie do mnie, pięć, sześć, siedem osób, jak się wam podoba. Zapłacicie tylko tak, jak w hotelu, a będziecie mieli lepiej niż w hotelu.

Don Perez był sympatyczny, żywy, miły. Taki skromny grand na Atlasie.

— Lubię Polaków. Przywieźcie z sobą wielu Polaków: pięciu, sześciu, ośmiu.

— Przyjacielu — rzekł Podrazik — ja bez rzeki i wędki żyć nie mogę. Jak tam z wodą w twoim Atlasie?

— Zrobi się.

— Jest rzeka?

— Czego się nie robi dla przyjaciół? Mam dwie rzeki. Jedna o krok od domu, druga trochę dalej.

— Znakomicie. A ryby?

— Mnóstwo ryb. Jakie kto chce: karpie, okonie, szczupaki, pstrągi.

— Cudowny jesteś, Perez.

— Czego się nie robi dla przyjaciół?

4

I czegóż więcej pragnąć? Znakomita sposobność. Wszystko najlepiej się składa. Głębia Atlasu 1200 m nad poziom. Okolica interesująca. Powódź oleandrów w uedach. Dwie rybne rzeki przed domem. Sympatyczny gospodarz z młodą córką. Tanio jak w bajce. Lepiej niż w hotelu. I towarzystwo rodaków.

Postanowiono. Wprawdzie, nie osiem, ale pięć osób pojedzie na fermę granda Atlasu, don Pereza.

Dzielnym towarzyszem pobytu w górach miał być Profesor. Ofiara figlarnego losu: profesor języka niemieckiego na emigracji. Proszę zrozumieć niewygodę położenia: uczyć przez całe życie języka niemieckiego, wyjaśniać zasady kultury niemieckiej, a potem przed tą kulturą i językiem uciekać na krańce świata i chodzić, jak wyrzut sumienia, że się było takim profesorem.

Z podobnej igraszki losu wrażliwy człowiek wysnuje dla siebie dramat. Nie był wolny od niego i nasz niefortunny przyjaciel. Nurtował w nim nieustanny konflikt wewnętrzny, podsycany konfliktami z zewnątrz. Osoba dramatu: profesor, który ukochał swój przedmiot nauczania. Tak jak inni profesorowie kochają: ten łacinę, tamten fizykę, ów matematykę. I nikt im tego za złe nie poczytuje. Wszyscy raczej chwalą: oto profesor.

A nasz kolega musiał żyć w wyjątkowych rozterkach ze sobą i światem. Jemu nie wolno kochać swego przedmiotu. Pan kocha język niemiecki? Aha, a czy pan naprawdę jest Polakiem? Biedny profesor nie mógł własnymi siłami rozwiązać swego dramatu. Chodził więc z nim, jak z robakiem gryzącym duszę. A wiadomo — robak domaga się znanych zadośćuczynień. Więc koniaczek. Więc szklaneczka czerwonego.

(Dalszy ciąg na str. 8)

Oaza w Biskrze: „Ogród Allacha"

Teatr Powszechny: Frances Goodrich i Albert Hackett „Pamiętnik Anny Frank". Inscenizacja i reżyseria — **Zbigniew Koczanowicz**, opracowanie dramaturgiczne — **Apoloniusz Zawilski**, scenografia — **Antoni Bystroń**, opracowanie muzyczne—**Bolesław Busiakiewicz**.

Scena z aktu I: Halina Billing (pani Frank) i Wanda Ostrowska (Anna).

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ANNA FRANK na łódzkiej scenie

Stanowimy w olbrzymiej większości pokolenie, które przeżyło ostatnią wojnę i ma ją jeszcze wyraźnie w pamięci. Stąd nie umiemy spojrzeć na książkę, przedstawienie teatralne, obraz czy film, traktujące o tej wojnie, wyłącznie jako na dzieło sztuki. Własne przeżycia zjawiają się w takich wypadkach nieproszone, każdy z nas przykłada miarkę swoich wspomnień do dzieła sztuki, szukając w nim w głównej mierze potwierdzenia obrazu wojny, jaki nosi w sobie.

Jeżeli ktoś chciałby znaleźć w „Pamiętniku Anny Frank" bezpośrednie odbicie okropności wojennych, czeka go zawód. Te właśnie czynniki odgrywają w sztuce F. Goodricha i A. Hacketta drugorzędną rolę. Są one tylko sygnalizowane, nie stykamy się z nimi twarzą w twarz.

O prześladowaniach Żydów w okupowanej Holandii dowiadujemy się właściwie tylko z opowiadania Dussela. Przyjmujemy je niejako „na wiarę", zwłaszcza że nasza własna wiedza o tych sprawach słowa Dussela potwierdza. Niebezpieczeństwo wykrycia zbiegów w oficynie też raczej wynika z wypowiadanych raz po raz przez osoby dramatu obaw, w nikły zaledwie sposób potwierdzonych przez pijackie śpiewy Niemców pod oknami domu. Można by teoretycznie założyć, iż obawy mieszkańców są urojone, a kryjówka ich całkiem bezpieczna. Wreszcie z grozą nalotów i bombardowania nie stykamy się wręcz, a tylko poprzez ustną relację.

A zatem? Mielibyśmy do czynienia ze sztuką zbudowaną na wzór dramatów starogreckich sprzed czasów Ajschylosa, w których cała akcja rozgrywa się za sceną, a przebieg jej aktor opowiada jedynie chorusowi? Nie. W „Pamiętniku Anny Frank" dramat rozwija się na scenie, na oczach widza. Jest on ściśle związany z wojną i jej skutkami, ale przełożonymi na język psychiki ludzkiej.

Prawda wojny jest taka, że nawet bez drutów kolczastych, murów i wież strażniczych czuł się człowiek w warunkach okupacji więźniem. Przecież najdokuczliwszą stroną pobytu Franków, Van Daanów i Dussela w oficynie było nie tyle niebezpieczeństwo wykrycia, ile niemożność opuszczenia kryjówki, konieczność narzucenia sobie dobrowolnie niesłychanie uciążliwego trybu życia. To miły, uroczy Pim, czyli Otto Frank był de facto nadzorcą strzegącym, by więzienny regulamin oficyny nie był przez nikogo naruszony. Jej mieszkańcy stali się już więźniami zanim „zielona" policja wykryła ich wskutek donosu.

Ten fakt jest niezwykle ważny dla zrozumienia dramatu małej Anny. Trudno zazdrościć więźniowi jego losu. A cóż dopiero jeśli więźniem staje się trzynastoletnia dziewczyna, jeśli los brutalnie przecina jej więzy ze światem, którego zaledwie zakosztowała, którego się jeszcze uczy? Annie potrzeba przestrzeni, ruchu, otoczenia złożonego z rówieśników. Tymczasem ma tylko ciasne poddasze, w którym przez większą część dnia nie wolno się poruszać, a mówić można jedynie szeptem. Poza stroniącym od niej w początkowym okresie Piotrem, zdana jest na towarzystwo ludzi dorosłych, w większości niewyrozumiałych dla przeżyć dziecka. Tym właśnie tłumaczą się akcenty w postawie Anny wobec otoczenia, które punkt szczytowy osiągają w momencie, gdy dziewczyna oskarża dorosłych, że to oni ponoszą winę za wojnę.

Zbliżenie z Piotrem pomaga Annie odnaleźć wewnętrzną równowagę. Anna stwarza sobie namiastkę doznań, jakich dostarczyłoby jej życie na wolności. Wprawdzie kanciasty, pozbawiony polotu Piotr zapewne nie przyciągnąłby do siebie w normalnych warunkach żywej i subtelnej natury Anny, ale w oficynie wyboru nie ma. I oto Anna przeżywa swoje pierwsze randki, stroi się w szal i rękawiczki, by przejść na drugą stronę poddasza.

W ciasnej głowie pani Van Daan mieści się tylko komi-

czna strona tej sytuacji, nie rozumie ona, że Anna walczy o prawa przysługujące dziewczynie w jej wieku. O prawo do tajemnych szeptów i pierwszych niezgrabnych pocałunków, o prawo do zaczerpnięcia choćby kilku kropel z wielkiej krynicy życia, które w każdej chwili mogło zostać przerwane.

Tych kilka wysączonych kropel starczyło Annie, by opanował ją spokój i to spokój nie mający nic wspólnego z cichą rezygnacją. Był to stan pełen optymizmu i wiary w życie wbrew coraz tragiczniejszemu położeniu mieszkańców oficyny.

W ten sposób „Pamiętnik Anny Frank", choć u niejednego z widzów może wywołać wrażenie niedosytu, jeśli chodzi o obraz wojny, ukazuje w sposób prawdziwy (bo w oparciu o autentyczny pamiętnik) tragedię dorastającej dziewczyny, którą wojna ograbiła z największych skarbów przysługujących w warunkach pokoju jej rówieśnikom.

Sprowadzanie intencji sztuki do potępienia rasizmu byłoby zawężeniem zagadnienia. Zrozumiał to, moim zdaniem, inscenizator i reżyser przedstawienia **Zbigniew Koczanowicz.** W bardzo dyskretny sposób wprowadza on realia drugiej wojny światowej, eliminuje nawet moment dobijania się i krzyków policji hitlerowskiej w końcowych partiach sztuki. W ten sposób główna uwaga skupia się — i słusznie! — na klimacie psychicznym, panującym w oficynie, widz śledzi przemiany duchowe Anny.

W oryginale sztuki słowo wiążące poszczególne sceny wypowiadane jest głosem Anny, płynącym z taśmy magnetofonowej. Koczanowicz zastąpił tę zbyt patetyczną może formę odczytywaniem fragmentów z pamiętnika Anny przez młodych aktorów, ukazujących się na proscenium. W taki sposób chciał inscenizator zbliżyć konflikt Anny do współczesnego młodego pokolenia. Pod pozorem relacjonowania pamiętnika młodzi ludzie wyrażać mają swą solidarność z Anną i gorący protest przeciw jej losowi. Nie u wszystkich jednak lektorów ta intencja inscenizacyjna wystąpiła plastycznie.

W łódzkim spektaklu czołową rolę Anny grają na zmianę dwie młode aktorki —**Romana Kamińska** i **Wanda Ostrowska.** Chciałbym uniknąć odpowiedzi na uproszczone pytanie: która była lepsza? Moim zdaniem koncepcje obu wykonawczyń tytułowej roli były odmienne i obie do przyjęcia. Kamińska jest bardziej skupiona w sobie i raczej liryczna, co pozwala jej z większym sukcesem rozegrać scenę randki z Piotrem w II akcie. Ponadto warunkami swoimi bardziej chyba zbliża się do naszych wyobrażeń Anny Frank. Ostrowska, aktorka o bardzo wdzięcznej sylwetce, dobitniej akcentuje dziecięce cechy Anny i dlatego lepiej chyba wypada w scenie z ojcem w I akcie. Obu aktorkom należą się jednak za kreowanie Anny słowa uznania.

Do lepiej zarysowanych postaci drugoplanowych należy Otto Frank. **Adam Daniewicz** wydobył z tej roli wiele ciepła. Frank jest pełen kultury i stałej troski o właściwe stosunki między lokatorami oficyny. Dobrze zagrał rolę niezgrabnego i niewyżerowanego jeszcze Piotra — **Jerzy Gliński.** Z innych wykonawców wymienić należy: **Halinę Bielling** (pani Frank), **Terese Wątrás** (Margot), **Halinę Taborską** (pani Van Daan), **Zdzisława Suwalskiego** (pan Van Daan) i **Wiesława Mirewicza** (Dussel). Słabsi byli: **Sidonia Blasińska** (Miep) i **Marian Stanisławski** (Kraler).

Przedstawienie jako całość jest udane i stanowi niewątpliwie piękną wypowiedź ideową teatru.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

LUNA-PARK

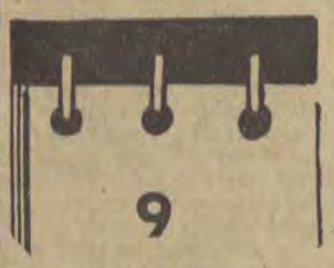

Teodora czyli Bożydara.

I w ten dzień, jak zawsze, nie przynoszą szczęścia kamienie wątrobowe, zębowe, drogowe, kotłowe, spalinowe, lecz — litograficzne do wytwarzania papierów wartościowych, i drogocenne z wyjątkiem kamieni do zapalniczek.

W dniu tym najlepiej się palą: świeże młode rozwódki, siwiejące wdowy, słomiani wdowcy, młodzi kaprale, zboże w PGR-ach, bawełna, len, tekstylia, wata w magazynach przed remanentem, najtrudniej zaś pali się: nafta do lamp, drzewo na podpałkę, benzyna w zapalniczkach, świece, papierosy „Sport", torf, węgiel brunatny, brykiety, azbest, woda.

Wiadomo, że wielki astronom Keppler utrzymywał się ze stawiania horoskopów na rynku, Neron widział swą rychłą śmierć w chwili gdy wypadł mu pierwszy trzonowy ząb, Napoleon nie byłby przegrał bitwy pod Waterloo, pomimo srogiej grypy czy kataru, gdyby w przeddzień bitwy nie ujrzał małego czarnego kotka przechodzącego mu drogę. Pomimo materializmu, w który wierzymy święcie, cały świat przepajają na wskroś działania wielkich tajemniczych sił bez przerwy wykrywanych przez znakomitych fizyków. Nasze horoskopy oddajemy czytelnikom bezpłatnie. Prosimy je wyciąć, oprawić i czytać w decydujących chwilach życia. Podejmujemy się ułatwić wystrzelenie rakiety księżycowej z przylądka Canaveralu przy pomocy naszych horoskopów.

POD ZNAKIEM SKORPIONA

Urodzony pod znakiem niedźwiadka czyli skorpiona potrafi się przezwyciężać. Gdy zachoruje, jego silne poczucie realności życiowej pobudza go do natychmiastowego przeciwdziałania, a więc leczenia się u odpowiedniego specjalisty. Urodzony 9 listopada pożycza pieniądze na prawo i lewo w celu energicznego zakupienia środków leczniczych, nieraz po osiem godzin przesiaduje w poczekalni sławnego specjalisty, byle tylko zaczerpnąć u niego zbawiennej porady. Niespożyta energia urodzonego pod znakiem skorpiona skłania go do użycia nawet środków drastycznych np. wyważenia drzwi, oddzielających poczekalnię od gabinetu opornego lekarza, wpisania jego nazwiska do książki zażaleń i podania go do prasy. Człowiek 9 listopada, inaczej niż człowiek 13 listopada, dumny i chytry, nie ostrożny i dyplomatyczny jak ten drugi, odważnie kładzie się do łóżka starając się wypędzić chorobę z siebie przy pomocy najsilniejszych środków, a więc nie-kruszyny, piramidonów, narzekań, proszków, perswazji i powolnego czekania na śmierć w gronie najbliższych osób, lecz najdroższych zastrzyków, pogotowia, ciętych baniek, soli karlsbadzkiej i puszczania krwi. Człowiek 9 listopada odważnie wyciąga legitymację ubezpieczalni i gromkim głosem domaga się skutecznego leczenia; nie trzęsie się ze strachu jak mysz pod miotłą wobec byle, jeszcze bardziej trzęsącej się, pielęgniarki: jest pełnoprawnym obywatelem, który płaci składki, więc płacąc — żąda i — wymaga. Pomimo, że zdolność człowieka 9 listopada do odradzania się zapewnia mu przyjście do siebie po stosunkowo nawet najcięższych cierpieniach, człowiek ten głosem nie budzącym żadnych dwuznacznych skojarzeń prosi o skierowanie go do, nawet i najbardziej elitarnych, szpitali i sanatoriów. Największe szczęście przynosi temu człowiekowi dziewiątka, gdy ósmy i siódmy numer obuwia przyprawia jego nogi o bolesne fąfle i jeszcze bardziej dokuczliwe odparzenia, zaś w grze w „21", — przy już posiadanych 12 punktach, dobrze płaci mu każda byle 9-tka.

Uwaga! zapasowe talie, wielką ilość dziewiątek, asów, gotowe korony, koronki, karety, pokery, szlemy nabyć można w redakcji „Lunaparku" po ukazaniu dowodu zgłoszenia się w najbliższym komisariacie.

Odpowiedzi redakcji

Lusiek Przybysławski, Zambrów. Jeżeli wpadł Panu do ucha owad, nie należy się nim przejmować: gorzkawy osad w uszach sam go stamtąd wypędzi. Dobrze byłoby wlać do ucha trochę ciepłej wody. Owad nie będzie miał możności przepoczwarczenia się, utonie, wypłynie na powierzchnię, a wtedy bardzo łatwo będzie można wyłowić go palcami. Trudno nam na odległość podawać okresy godowe wszystkich znanych w Polsce owadów. Znając płeć owadu, bardzo łatwo oczywiście wywabić go na zewnątrz ucha przy pomocy ponęt płci przeciwnej.

„U Rzymianek nawyknienie do perfumowania się tak dalece weszło w zwyczaj, że moralista i komediopisarz Plautus nie wahał się zawołać: „Na Boga! jedyną pięknie pachnącą kobietą, którą spotkałem w swym życiu, była ta, co nie pachniała niczym".

Lunapark redaguje Zygmunt Fijas. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy kierować: „Odgłosy" z adnotacją „Dla Lunaparku".

MICHAŁ ORLICZ

W obronie teatru

W związku z toczącą się ostatnio w kołach teatralnych Łodzi dyskusją na temat stosunku krytyki prasowej do teatru zamieszczamy poniższy artykuł znanego teatrologa Michała Orlicza.

REDAKCJA

Zdawałoby się, że krytyka powinna być pośrednikiem twórczym między widownią a sceną, między widzem a aktorami. Tymczasem od pierwszej niemal chwili, gdy w ogóle powstało pojęcie krytyki, mamy do czynienia z fatalnym nieporozumieniem.

Krytyk pisząc recenzję pragnął wykazać przede wszystkim swoje własne wartości. Trafnie zauważył kiedyś Jan Lorentowicz, że krytyk rozczulając się nad swym dobrym smakiem ubolewał, że cały światopogląd teatru jako sztuki nie jest przystosowany do jego poziomu.

Niesumienność krytyki! W literaturze spotykamy się z szeregiem uwag i protestów w tej materii, choć postawienie niesumienności krytyki pod pręgierz opinii publicznej nie wywoływało na ogół skutecznego uzdrowienia. Ani Goethe, ani Heine, ani Mickiewicz nie mogli sobie z tym wrzodem dać rady. Cierpiał przez krytykę Słowacki i rozprawiał się z nią w „Beniowskim", złamał pióro na jakiś czas Fredro pod wpływem cierpkich uwag Seweryna Goszczyńskiego; w ciężkiej depresji znalazł się niejednokrotnie Wyspiański. W „Notach" do „Bolesława Śmiałego" stoczył zresztą autor „Wyzwolenia" pojedynek z krytykami, którzy zarzucili mu, że nie daje gotowych wzorów dramatu. Odcinał im się w ten sposób:

„Mam ten dar twórczy: patrzeć się inaczej.
Inaczej, niźli wy co nie kształcicie wzroku,
Dla których stworzył Bóg szablony i schematy
A duszy poddajecie studenckie tematy".

Stanisław Koźmian, dyrektor teatru krakowskiego, essaista i myśliciel, napisał w swojej książce pt. „Rzeczy teatralne" że „teatr nie może i nie powinien odstrzeliwać się". „Jest to tarcza — pisał — do której strzelają sobie wszyscy bezpiecznie i bez obawy".

Istotnie. Aktorzy i reżyserzy znajdują się w sytuacji człowieka bezbronnego wobec daleko idącego nieskrępowania wielu ludzi, piszących krytyki, ludzi, którym się zdaje, że „są w stanie jałowa jakąś uwagą coś uregulować lub coś w istocie biegu prac i spraw teatralnych zmienić".

Cóż bowiem może zmienić krytyk, który nie posiada znajomości mechanizmu teatralnego, który nie umie odróżnić pracy aktora od pomysłowości reżysera, nie jest w stanie uchwycić różnicy między założeniami inscenizacyjnymi reżysera, a rezultatami interpretacji aktorskiej i w ogóle nie posiada własnego sądu wobec zjawisk artystycznych?

Stąd to pochodzą owe płytkie określenia, że ktoś był „poprawny", a inny dobrze spełnił swoje zadanie, trzeci znów był „staranny" a „reżyseria czujna". Albo inna, jeszcze wybredniejsza ocena: „reżyseria — pisze sprytny krytyk — nie była ani dobra ani zła".

Tego rodzaju recenzje tłumaczą aż nadto, że krytyk merytorycznie nie ma nic do powiedzenia.

Stefan Żeromski nazywał takie jednostki „rozdawcami łaski i niełaski", ośmieszając ich jako „korepetytorów w zakresie piękna i smaku" („Snobizm i postęp"). Krytyk bowiem chce być przede wszystkim mentorem. Zamiast być pedagogiem, a przynajmniej sprawiedliwym sędzią faktów, które ma przed sobą.

Najgorsze jednak są tzw. felietony teatralne o podkładzie satyrycznym.

Jedyną myślą przewodnią krytyka jest w tym wypadku chęć ubawienia czytelnika i zwrócenia na siebie uwagi jako na dowcipnisia, który wszystko i wszystkich potrafi wykpić bez względu na to, czy dana rzecz jest dobra czy zła. Jest to zabawa na koszt teatru. Dowcip zostaje tu ukuty z ogromnego trudu i wzruszeń artysty.

Jeżeli tego typu recenzje mają charakter inteligentnej szermierki i sympatycznego przekomarzania się z twórczością, to jeszcze pół biedy, jeżeli natomiast w recenzje bawi się człowiek bez talentu, śledziennik, maniak czy histeryk, to jedynym ratunkiem w tej patologicznej rozrywce może być tylko sanatorium.

Jest jeszcze inny rodzaj recenzentów. Zaliczają się do niego ci sprawozdawcy, którzy elukubraty swoje piszą z punktu widzenia szerokiej znajomości świata. W takich razach co krok spotyka się jakieś fakty z osobistych spotkań recenzenta ze znanymi aktorami, aktorkami czy reżyserami zagranicznymi, co ma oczywiście wpływ na porównywanie tamtych wielkości z nicością naszego aktorstwa.

Gdyby potem na scenie polskiej pojawił się znany z afisza paryskiego utwór sceniczny, to ów „znakomity" podróżnik napisze wtedy mniej więcej tak: „Jakżeby ten dramat pięknie wyglądał na naszej scenie, gdyby go reżyserował taki np. Barrault czy Peter Brook".

Najzabawniejsze w tym jest to, że recenzent reżyserów podczas ich prób nie obserwował, więc ich podejścia do sztuki nie zna. Podcinanie jednak fachowości czynników polskich wobec uznanych wartości zagranicznych weszło w modę, zwłaszcza u tych krytyków, którym przypadek pisania recenzji dał na poczekaniu znajomość teatru i prawo wydawania absolutnego sądu.

Karol Irzykowski opracował pewnego rodzaju vademecum dla krytyków, z którego warto zacytować następujące uwagi:

„1. Nie pisz arbitralnie, zwłaszcza gdy chłastasz swoich, daj dowód.

2. Pisz tak, żebyś jakością swojego sądu za każdym razem udowodnił, że masz przyrodzone prawo do wydawania sądu, a nie przypadkowe prawo zdobyte przez wkręcenie się do redakcji.

3. Nie wydawaj patentów, nie wyrokuj o talencie lub o braku talentu, pisz o sztuce, którą recenzujesz".

Tyle Irzykowski.

Ostro też bronił rzeczowości i powagi stanowiska krytyka wspomniany już wyżej Jan Lorentowicz, który wobec panoszącego się coraz bardziej systemu bezmyślnego ujadania na twórczość

polską takie m. in. sformułował poglądy:

„Dyrektor teatru, który wystawia niedoskonałe dzieło oryginalne nie zasługuje jeszcze na to, aby drzeć z niego pasy i posypywać je solą wątpliwej attyckości".

„Autor polski, który napisał sztukę oryginalną, a w utworze swoim ujawnia chociaż jeden moment twórczy i nie powtarza bezmyślnie życia, nie jest zbrodniarzem, zasługującym tylko na pręgierz publiczny".

„Aktor, który wkłada w swoją rolę maksimum wysiłku, pracy i starań, nie jest szkodnikiem, którego należy wbić na pal za to, że nie zdołał osiągnąć dobrego wyniku artystycznego".

Niewielu recenzentów zdobyło się na respektowanie tych słusznych zasad. Do dziś dnia zresztą gołosłowne, a przy tym złośliwe nieraz oceny prasowe paraliżują uczciwą, choć nie zawsze doskonałą artystycznie produkcję naszych teatrów. Teatry nasze oczekują krytyki najostrzejszej, ale rzeczowej. W pustych pochwałach nie rodzą się bowiem bodźce twórcze.

Uwagi te nie dotyczą recenzentów personalnie, bo artykuł miał raczej na celu wykazanie niedobrej metody postępowania krytyki dawnej i dzisiejszej. Zresztą osoby recenzentów zmieniają się, pozostaje tylko niestety ten sam system. Zły, dokuczliwy system, który wymaga jak najszybszego uzdrowienia.

Oleandry i ryby w ATLASIE

Bou-Saada: Ogrody w uedzie

(Dalszy ciąg ze str. 6)

Robaczek silny, siwa głowa profesora słaba. Ale to wszystko akurat dobre do marzenia o minionym szczęściu. Wielkość, stołeczne miasto, największe na świecie liceum. On — człowiek ubóstwiany przez ministra, kolegów i przede wszystkim przez młodzież. Patrzcie, patrzcie młodzi: ostatni, co tak uczy języka niemieckiego.

Tak kojąco wpływa szklaneczka czerwonego.

Kto chce, może ujrzeć w tym dramat. Ale nasz Podrazik nie zaprzątał sobie głowy rozterkami profesora, a jeszcze mniej sympatyczny właściciel fermy w Atlasie, Hiszpan Perez.

5

Na sześćdziesięciu kilometrach drogi w poprzek tej cząstki Atlasu, która oddziela miasteczko Affreville od Letourneaux, siedziby naszego granda, nie spotkaliśmy ani jednego wozu. Droga znakomita: asfalt. Ktoś jechał na osiołku. Gdzieś na uboczu pasły się stada owiec. Przechodziła jakaś drużyna wielbłądów. Stadko wołów w zaroślach. Stosy gałęzi, przygotowanych do wypalania węgla drzewnego. Kilka razy zaznacza się w krajobrazie jakaś siedziba arabska. Ludzi tak mało, jakby ich niemal nie było.

Południe. Szarobiałe godziny piekielnego sirocco. Wiatr wpada do wozu, jak płomienie lucyferyczne. Sześćdziesiąt stopni. Krew przygotowuje się do stanu wrzenia. Moi przyjaciele, posiadacze mocnych głów i serc, chłodzą się winem.

Pusto i gorąco w Atlasie. Droga wspina się ku górom, dosięga ich, wirażami wrywa się w głąb coraz wyżej. 800, 1000, 1200 m.

Góry piękne. Nie mają dzikości, chociaż najczęściej dzika oliwka obrasta ich czuby. Z daleka wyglądają, jak okrągławe kopce, pokryte płowym mchem.

Góry łagodne, bez stromizn i skalnych ścian. Nie posiadają majestatu grozy. Przyciągają sielankowym nastrojem.

Uedy i roztoki leżą między wyniosłościami. Gdzieniegdzie trochę wody lub jej widmo. Wyschnięte w letniej porze roku kamieniste dna strumieni. Dobrze, bardzo dobrze, gdy wyjątkowo zamigota wielki jak filiżaneczka obszar wody.

Ale w każdym uedzie, jakby na skutek umowy — blada różowość kwitnących oleandrów. Co kilka kilometrów taki ued. Oleandry, jak u nas wikliny nad rzeczkami. Nie można się oprzeć tym oleandrom. Wóz staje na ich widok. Sirocco łagodnieje. Nawet zwolennicy baru przyznają: piękniejsze są niż wino różowe.

Jedźmy dalej. Będziemy mieli możność nasycenia się oleandrami u don Pereza nad rybną rzeką.

Przydrożny napis uprzedza: czternaście kilometrów wirażu. Znakomicie. Coraz piękniej i rzeźwiej. Coraz bardziej pusto.

Czternaście kilometrów wirażu kończy się. Wóz wyjeżdża z gór. Wpada na płaskowyż szeroki, jednostajny i płowy. Pagórkowate pola, puste, prawie zupełnie pozbawione roślinności. Gdzieniegdzie tylko jakieś drzewko, jakby dla zaznaczenia, że jeszcze nie pustynia. To dzikie oliwki, jedna od drugiej odległa o kilometr. Nic ciekawego — pusto, głucho, szaro.

Pośrodku płaskowyżu — grupka drzew. Widać kilka rzędów topoli, jakieś zabudowania, tradycyjny forcik na pagórku. To nasz cel — Letourneaux.

I oto pierwszy zawód. To już nie Atlas. Dwadzieścia kilometrów po drugiej stronie gór. Szara pustka. Nic. Nawet na dnie napotykanych uedów nie kwitną oleandry. Już wiemy: obszar między Atlasem a pustynią uważany jest za najnudniejszą część Algierii.

Rozglądamy się: w pobliżu mają być dwie rybne rzeki. Na razie nie możemy ich zauważyć. Widocznie ukryte są po przeciwnej stronie osady.

6

Grand Perez serdecznie powitał don Podrazika i jego przyjaciół. Marcelka, czternastoletnia miła córka, zaraz zajęła się przygotowaniem podwieczorku.

Błogi nastrój powitalny zmącony był jednak trochę przez pewien niedostatek mieszkania. Potomek Don Kichota posiadał tylko dwa krzesła. Od czegóż jednak łóżka? Mało? Są paki, które znakomicie zastąpią stołki.

— Cóż robić? — Wojna — Ale za to romantycznie.

Romantycznie nastrajała także inna arytmetyka: dwa skromne łóżka. Na siedem osób?

Podrazik, jako najbliższy przyjaciel gospodarza, oględnie zagadnął go w tej sprawie.

Hiszpan tajemniczo się uśmiechał:

— Będzie wam dobrze.

I jakby na dowód twierdzenia, rozpoczął serię cudownych pokazów. Najpierw wyciągnął butelkę anisetki. Anisetka jest uwielbianym napojem tutejszego, francusko-hiszpańskiego ludu. Pije się ją z wodą. Powstaje wtedy ciecz, przypominająca kolorem i smakiem wodę pomieszaną z pastą do zębów. Ten sympatyczny napój od czterech lat znikł był z rynku. Nastąpiło smutne życie bez anisetki, nie rozjaśnione nawet cudownymi skutkami zawieszenia broni. I oto taka nadzwyczajność. W Letourneaux litr anisetki. Widać, że don Perez poważnie traktował obowiązki gospodarza — aż do granic czarodziejstwa.

Wprawdzie Polacy wolą pić skondensowany alkohol niż wodę do płukania ust, ale po jednej i drugiej szklaneczce płynu czar zaczął działać.

Pryskały pierwsze lody. Rozwiązywały się języki. Profesor języka niemieckiego zawsze był wielomówny. Miał on swoiste zdolności językowe. W ciągu pięciu lat przyswoił sobie pięćdziesiąt słów francuskich. Ale obracał nimi nieustannie. Potrafił mówić godzinami. A mówił tak jakby język francuski nie miał w ogóle gramatyki.

Mówił więc po francusku, jak przysłowiowa hiszpańska krowa. Nic dziwnego, że nasz Hiszpan rozumiał go doskonale.

W wolnym przekładzie wyglądało to mniej więcej tak:

— Wy rozumieć — ja profesor. Wy rozumieć — ja języka niemiecka. Wy rozumieć — dużo, dużo języka niemiecka, stara, nowa. Wy rozumieć — ja patriota Polaka. Wy patriota Hiszpana. Wy rozumieć — pocałować się.

Po trzeciej szklance anisetki i takiej przemowie można się już było uścisnąć. Grand hiszpański nie bardzo znał się na takich nagłych zrywach czułości, ale biernie poddał się losowi:

— Czego nie robi się dla przyjaciół?

Tymczasem Podrazik, mimo anisetki, nie zapomniał o naczelnym zagadnieniu:

— Gdzie są te dwie rzeki?

Hiszpan tajemniczo i mądrze się uśmiechnął:

— Będą.

— Będą? Myślę, że są.

— Czego się nie robi dla przyjaciół? Zrobi się i rzeki.

— Jeżeli zrobisz rzeki, jutro rano wychodzę na ryby.

— Spokojnie. Pojedziemy — za dwa, trzy dni. Ja pojadę, Marcelka pojedzie. Pojedziemy z anisetką — na oslach.

— Daleko stąd?

Hiszpan oblicza! dość długo:

— Około dwudziestku kilometrów.

Podrazik wypił duszkiem szklankę anisetki, ale powiedział trzeźwo.

— Miały być dwie rzeki obok miasta, jedna nawet o kilka kroków od domu.

— Czego się nie robi dla przyjaciół? Co to szkodzi, że rzeki są trochę dalej? Można dojechać na oslach. A tak — nie przyjechalibyście przecież. Tacy sympatyczni goście. I to z powodu głupich rzek i rybek. Dla mnie ważniejsi są przyjaciele niż woda. A zresztą osły są do rozporządzenia.

Przed domem Pereza leżało dzikie i zaśmiecone podwórko. Na podwórku kilka miłych, przyznać trzeba osłów.

Hiszpan nastrajał optymistycznie:

— Będzie wam u mnie dobrze. Przygotuję łopatkę barania na wieczerzę. A tu jeszcze ważniejsza rzecz.

I wyciągnął z kredensu wielką prawdziwą szynkę. To był najważniejszy cud Hiszpana. Goście z wygłodzonego Algeru od pięciu lat nie widzieli takiego zwału mięsa.

Najlepiej umiał to ocenić profesor.

— Szynka — zawołał — pani szynka czy jeszcze szyneczka panieneczka? To obojętne. Kocham cię. Daj buzi.

Profesor delikatnie i z wdziękiem ucałował szynkę.

— Tak się całuje dziewczęta. Ale ona wkrótce przestanie być niewinną.

Jakoż ostry nóż hiszpański potwierdził jego słowa.

STANISŁAW CZERNIK

Dalszy ciąg w następnym numerze

MACIEJ SMERDA

Melpomena w terenie

Jesienią — jak co roku — teatry objazdowe wyciągnęły z garaży swe wysłużone wehikuły i wyruszyły „w teren". W tym roku jak w latach poprzednich — te zmotoryzowane wozy Tespisa wzniecają kurz na częściej uczęszczanych drogach, nie zbaczając prawie nigdy na drogi, prowadzące do mniejszych miejscowości.

Dlaczego? Czy objazdowe zespoły teatralne czują nieprzezwyciężoną niechęć do występowania w małych miejscowościach? Czy nie chcą dostarczać mieszkańcom odległych miasteczek i wsi wzruszeń artystycznych?

Nic błędniejszego, jak takie mniemanie. Obecnie teren województwa łódzkiego obsługuje kilka zespołów teatralnych (trzy Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej, dwa Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Łodzi, zespoły pomocnicze PPIE, zespoły innych teatrów na gościnnych występach) i często koordynatorzy tras ich objazdu mają wiele kłopotu z wyszukaniem miejscowości, w której zespół mógłby wystąpić. Często się zdarza, szczególnie przy końcu miesiąca, że trzeba zrezygnować z ofert tych zespołów, gdyż wszystkie miejscowości, w których zazwyczaj odbywają się przedstawienia teatralne, są już zajęte.

Można by sądzić, że Wydział Kultury Prezydium WRN powinien kierować te zespoły do odległych miasteczek i wsi, które nie miały jeszcze okazji do oglądania przedstawień teatralnych. Zespoły, mając do wyboru albo niezamierzony odpoczynek, albo odwiedzenie chłonnego, bo pozbawionego rozrywek kulturalnych środowiska, wybrałyby niezawodnie tę drugą ewentualność. Niestety, nie jest to możliwe, gdyż w wielu miejscowościach województwa łódzkiego nie ma takich sal, w których można by dać przedstawienie teatralne.

Sytuacja z salami widowiskowymi na terenie województwa łódzkiego przedstawia się katastrofalnie. Istniejące sale (a znajdują się one przeważnie w większych miejscowościach) nie posiadają najprymitywniejszych urządzeń scenicznych i zascenicznych (kurtyna, kotary, oświetlenie, garderoby dla aktorów), bo ich fundatorzy i projektodawcy nie zawracali sobie głów takimi drobiazgami, wychodząc z założenia, że taka sala, w której można będzie zorganizować zebranie, akademię i zabawę taneczną, w zupełności spełni swe zadania.

Być może przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, że około 80 proc. sal w naszym województwie znajduje się w posiadaniu Ochotniczej Straży Pożarnej, która to organizacja w przerwach pomiędzy pożarami bardzo chętnie urządza zabawy taneczne, obficie zakrapiane alkoholem.

Pracownicy teatrów objazdowych opowiadają z przerażeniem, że często przychodzi im grać w sali, w której kątach walają się butelki po wódce oraz resztki kiszonych ogórków, które nadal — mimo zwiększania się pogłowia bydła i trzody chlewnej — stanowią żelazną pozycję w naszym menu zakąskowym.

W tej sytuacji posiadacze sal widowiskowych powinni dołożyć wszelkich starań, aby utrzymać je w porządku, boć przecież aktorzy to też ludzie, którzy muszą mieć odpowiednie warunki do swej niełatwej pracy. W wielu wypadkach wystarczyłaby tylko dobra wola i odrobina inicjatywy, a można by sposobem gospodarczym doprowadzić sale do stanu używalności.

Lecz sprawa dostosowania do występów teatralnych sal już istniejących nie wyczerpuje zagadnienia. Na inicjatywę społeczną czekają ośrodki, nie posiadające jeszcze sal widowiskowych. Znane są przypadki na terenie województwa, że społeczeństwo z własnej inicjatywy doprowadziło do wybudowania domów ludowych, wyposażonych w estetyczne sale widowiskowe.

I właśnie w nagrodę za to mieszkańcy Żeromic w powiecie kutnowskim po raz pierwszy w historii swej wsi mogą teraz gościć u siebie zespoły PTZŁ i PPIE. Niewątpliwie czynię to chętnie, gdyż na inauguracyjnym przedstawieniu w nowowybudowanej sali stawili się bardzo licznie.

Jakie wnioski z tych krótkich rozważań? Chyba takie, że ci, którzy chcą u siebie oglądać spektakle teatralne, winni zatroszczyć się o to, aby stworzyć warunki, umożliwiające organizowanie przedstawień.

witryna księgarska

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

SPRAWY BESTII LUDZKIEJ

Przyćmiony znakomitym światłem takich gwiazd amerykańskich jak, John Dos Passos, Ernest Hemingway czy Wiliam Faulkner — wytrwale pisał Mauriac esseje, artykuły krytyczne, dramaty, powieści. Dano mu nagrodę Nobla i pozwolono kształtować opinię publiczną pewnych grup społecznych we Francji. Jeden z krytyków—Pierre Brodin — nazywa go przywódcą świadomości pewnej części opinii francuskiej.

Pisarz już stary (ur. 1885) o wielkiej żywotności, jest Mauriac dzieckiem burżuazji i burżuazji bezwzględnym sędzią. Jest przy tym pisarzem, o którym się zwykło mówić: wielki i katolicki. Te dwa przymiotniki nie podlegając zbyt często udokumentowaniu są przecież stwierdzeniami, określającymi nieprzeciętną skalę talentu i obsesje tematyczne autora „Pielgrzymów".

W chwili obecnej można mówić o pewnym renesansie tego pisarza w Polsce, jeśli za miernik pod tym względem przyjmiemy liczne dosyć wytrwale przez „Pax" dostarczane reedycje jego książek. Doczekał się też u nas Mauriac kilku studiów (Manfred Kridl, Konrad Górski, znakomite studium Wacława Kubackiego); jest częstokroć cytowany przy różnych okazjach i w różnych miejscach. Oto „Czytelnik" wydał ostatnio „Kłębowisko żmij" — powieść uznaną przez wielu krytyków za rzecz najcenniejszą w dorobku prozatorskim tego pisarza.

Mauriac w swoim Dzienniku napisał, że jest „metafizykiem, pracującym w materiale konkretnym". To lapidarne stwierdzenie znakomicie przylega do „Kłębowiska żmij". Nadrzędna, właśnie metafizyczna problematyka łaski i odkupienia grzechów zyskuje tutaj aspekt jak najbardziej ziemski, dotykalny, w dobrym znaczeniu tego słowa — zmysłowy.

Mauriac jest pisarzem o niezbyt wielkiej przedsiębiorczości formalnej, ale i on przecież po swojemu korzystał z wynalazczości wielkiego Prousta. W „Teresie Desqueyroux" w interesujący sposób rozwiązał zagadnienie czasu powieściowego. W „Kłębowisku żmij" właśnie nie zawahał się wprowadzić ryzykownej formy pamiętnika-narracji w pierwszej osobie („Kłębowisko żmij" ukazało się w r. 1932). Spotykamy w „Kłębowisku" jakże znany z kart powieści Mauriaca typ bohatera. Człowiek zły, ateista (cecha istotna u pisarza katolickiego), mizantrop z milczącego nakazu otoczenia, skąpiec — oto cechy zasadnicze. Dodać jeszcze trzeba: niepospolita inteligencja, skłonność do refleksji, kompleks niższości na punkcie tzw. wyglądu zewnętrznego. I jeszcze trzeba dodać: oszukany przez kobietę, którą kochał, bezwzględny, potencjalny dyktator, przebiegły, mściwy. Oto obraz Ludwika. Jego pamiętnik ma być niejako aktem zemsty na własnej żonie. Subiektywizacja narra-

(Dalszy ciąg na str. 9)

STEFAN RYBICKI

ADAPTACJA PIOTRA GOSZCZYŃSKIEGO

BIAŁY KAPITAN

— 7 —

Budujemy drogi — siły roboczej dostarcza nam każdy wójt wioski arabskiej.

Jego współplemieńcy są zarazem i jego niewolnikami, gdyż każdy wójt zaprzedany jest Francji, on tylko dostaje pieniądze za pracę i pot Arabów budujących drogi. Jego harem będzie chodził w bogatych szatach, tylko on będzie cieszył się bogactwem — jego poddani żyć będą w dalszym ciągu z jałmużny i kradzieży, żywiąc się garścią na wpół zgniłych bananów.

Do fortu droga wiedzie przez góry — musimy zbudować tunel. Budujemy go kilka miesięcy, tunel liczy 60 m długości, przejechać w nim mogą obok siebie dwa czołgi, ale każdy metr tego tunelu skropiony jest obficie krwią arabską. Arab to tani robotnik, jego pot i jego krew nie liczy się. Oto żołnierz Legii zakłada ładunek, by rozłupać występ skalny w tunelu, lont liczy 40 m długości, przytknięty papieros rozpala syczący lont a w przodzie pozostają nie uprzedzeni przez nikogo Arabowie. — Wybuch. Gdy wracamy z powrotem do tunelu, w świetle lampek widzimy rozwalony blok skalny spryskany czerwienią krwi. Arabów do pracy nie brak — bieda gna ich wprost w objęcia śmierci.

Odpoczynek znają tylko w piątkowe popołudnie — wtedy dowódca fortu sprawuje sąd i rozstrzyga spory między Arabami. Prawo jest bardzo proste i nieskomplikowane. Prokurator to oficer Legii — obrońcy nie ma, wyrok wykonuje żołnierz Legii. Sprawiedliwości staje się szybko zadość. Tu Temida ma naprawdę oczy zawiązane. Zresztą cóż mówić o Arabach. Wystarczy przyjrzeć się „sprawiedliwości" wymierzanej „szczodrą" ręką legionistom. Za byle

— 8 —

przewinienie żołnierz w Legii jest ciężko i surowo karany. Wymiar kary feruje bezpośredni przełożony sierżant lub kapral. Wyrok uzależniony jest od kaprysu czy humoru tego wszechwładnego pana życia i śmierci, raz może to być „plażowanie" ze związanymi drutem rękoma na słońcu w pełnym skwarze południa, innym razem delikwentowi także związanemu smaruje się twarz marmoladą kładąc go na piasku. Po chwili twarz oblepiona jest dosłownie żerującymi na marmoladzie muchami. Lżejsza kara to wysyłanie do małego fortu, gdzie przydział wody na dobę wynosi dla każdego legionisty po litrze. Po dwóch tygodniach — delikwent z reguły choruje na żółtaczkę.

Cięższe przewinienia karane są 18-miesięcznym pobytem w kompanii karnej w Colomb-Bechar. Nad bramą obozu umieszczony jest napis „Tą bramą tylko się wchodzi" — druga brama „wyjściowa" prowadzi na obszerny i bardzo już „zagęszczony" cmentarz. Z Colomb-Bechar po 18 miesiącach nikt żywy jeszcze nie wyszedł. W obozie skazańcy muszą wykonywać cegły z piasku, po 800 sztuk dziennie. Niewykonanie normy jest równoznaczne z nieotrzymaniem posiłków w dniu następnym. Jasne, że gdy człowiek nie ma sił wykonać normy w pierwszym dniu, w następnym dniu głodówki normy też nie wykona — następuje więc powolna śmierć głodowa. — W Colomb-Bechar słowa: przebaczenie czy litość nie istnieją. Są one zupełnie obce korsykańskim sierżantom czy niemieckim kapralom. Zresztą przykład idzie z góry — w tym czasie dowódcą tej karnej jednostki był kapitan Garros — również Korsykanin, człowiek, który w Legii zdobył przydomek kata.

— 9 —

Oficerowie Legii nie podawali mu ręki. Osamotniony i pogardzony mścił się na żołnierzach mordując ich w okrutny i perfidny sposób.

Był to rok 1925, w tym czasie kończyłem szkołę kapralów. Pewne sprawy Legii nie stanowiły już dla mnie tajemnicy. W nocy z Colomb-Bechar ucieka jeden z podoficerów niemieckich w stopniu kaprala nazwiskiem Klems, były oficer Reichswehry, wykluczony z korpusu oficerów niemieckich za homoseksualizm. Kapral Klems nie mógł już dłużej patrzeć na okrutne traktowanie skazanych. Ucieka w pełnym rynsztunku, kradnąc karabin maszynowy, mapy fortów, do Ab-del Kerima. Mija właśnie rok powstania w górach Riffu, rok nieustannych porażek Francji w Maroku. Ab-del Kerim zbliża się do stolicy Maroka Rabatu. Nie wierzy jednak uciekinierom, wystawia Klemsa na próbę, każe mu przynieść broń i głowy trzech legionistów.

Klems powraca — zadanie wykonał. Teraz dostaje pod swe rozkazy kilkudziesięciu Arabów. Jest to oddział, który dziś porównać by było można do oddziału comandosów. Dla Klemsa nie ma sprawy niemożliwej. Staje się przekleństwem Legii, sława jego wśród oddziałów Ab-del Kerima urasta do rozmiarów legendy. Po roku zostaje szefem sztabu wojsk powstańczych. Tytułują go „ministrem wojny". Przyjmuje wiarę mahometańską. Ab-del Kerim oddaje mu za żonę jedną ze swych córek.

Do Afryki przybywa marszałek Petain. Obejmuje naczelne dowództwo wojsk operacyjnych, sprzyja mu przysłowiowy łut szczęścia. Ab-del Kerim krok po kroku cofa się z powrotem w góry Riffu.

D. c. n.

SPRAWY BESTII LUDZKIEJ

(Dokończenie ze str. 8)

cji nie przeszkadza Mauriacowi w przekazaniu dosyć charakterystycznego obrazu środowiska. Ten obraz zyskuje bez mała wymiar naturalistyczny. Bo też naturalistą jest Mauriac. Nie tylko w warstwie stylistycznej, lecz także — i tu może przede wszystkim — w warstwie schematów treściowych. Atmosferę powieści Mauriaca dobrze charakteryzuje chyba rzeczownik francuski: „abomination" — obrzydzenie wstręt. Mauriac jest pisarzem zafascynowanym brzydotą. Bohaterzy jego utworów obdarzeni są wieloma cechami negatywnymi, nie tylko w sensie psychicznym, ale i fizycznym. Mężczyznom wypadają włosy, kobiety mają nieszczelne uzębienie, akt miłosny jest igraszką spoconych robaków, noc poślubna kończy się skrupulatnymi i krytycznymi oględzinami ukochanej kobiety. Swego czasu w krytyce francuskiej zrobił pewną karierę termin: erotyzm komercjalny. Pewnych pisarzy pomawiano o zbytnie nadużywanie rekwizytów czy motywów tzw. erotycznych. W całej tej — jeśli wolno tak powiedzieć—kampanii nazwisko Mauriaca także było wymieniane. Pod pewnymi względami „Kłębowisko żmij" przypomina o dorobku naukowym wielkiego Anglika Karola Darwina. Nie chodzi tylko o to, że dla Ludwika i wszystkich go otaczających *pecunia non olet*. Chodzi i o to, że ci ludzie patrzą na siebie wilkiem, że knują spiski przeciw sobie, że z zapartym tchem śledzą giełdę, rynek i wszelkie tzw. kursy, że podstawiają sobie nogi, że chwytają się sposobów i sposobików itd.

Funkcję nadrzędną pełni jednak mit. Przynajmniej w powieści — w życiu może ale nie musi być faktem. Mitów buduje Mauriac kilka: mit kobiety — matki — samicy, mit rodziny, jako komórki trwałej i spoistej, mit — wreszcie — łaski. Łaska jest interwencją z góry, jest ostrym nożem, tępiącym kłębowisko żmij, które, jak chce Mauriac, jest bądź to sercem Ludwika, bądź to jego otoczeniem. Łaskawy czytelnik zechce tytuł sobie wyjaśnić.

Interwencja Łaski jest przecież prawie spóźniona i przez to — jak sądzę — podważa wiarygodność psychologii. A Mauriac jest tęgim psychologiem. Jego postaci naładowane są olbrzymim ładunkiem życia. Ale tu — rzecz charakterystyczna — nagle okazuje się, że ten skąpiec, który bielszym ponad śnieg nigdy być nie mógł, jest lepszym katolikiem od ortodoksyjnego pod tym względem otoczenia. Poprzez zwierzę ludzkie dochodzi do Boga. On waha się, przeżywa, walczy z własną naturą. Oni wszyscy zaś — jakże poprawni — okazują się nad wyraz podli i plascy. Cięcie Mauriaca ma więc walor obosieczny.

Pamiętnik jest nieskończony. Bohater umiera. Pod koniec powieści następuje naiwna być może nieco wymiana listów w obrębie rodziny. To swoiste przyspieszenie tempa powieści jest — jak myślę — wyrazem małej porażki pisarza. Trzeba się z tym jednak zgodzić. Mauriac — rzecz zrozumiała — podporządkowuje wizje założeniom i rygorom.

Te rygory podobać lub nie podobać się mogą, ale istnieją. Są faktem. Nie wolno ich lekceważyć. Mauriac musi pozostać Mauriakiem.

NASZA KRZYŻÓWKA

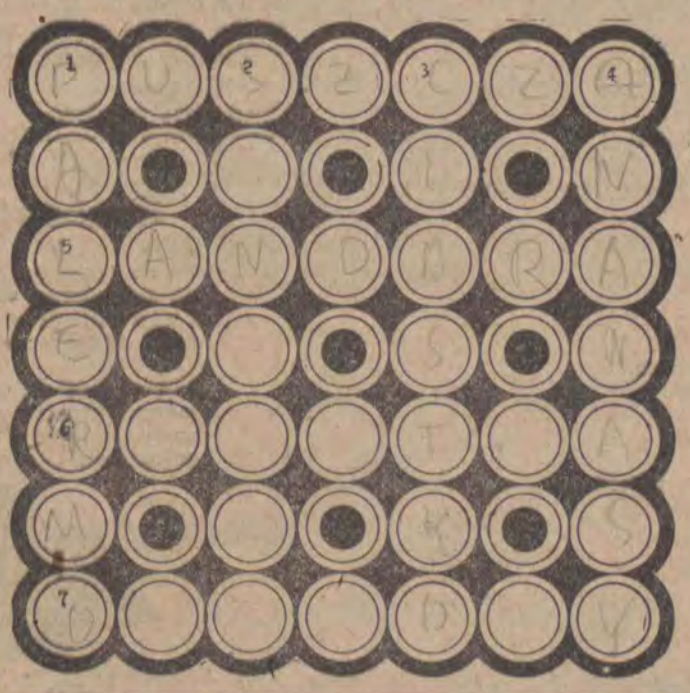

Warunki Konkursu
POLSKIEGO RADIA, TELEWIZJI i „ODGŁOSÓW"
ogłosimy w następnym numerze

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Knieja, 5) Duży, ciężki powóz, stara kareta, 6) Gra hazardowa, 7) Masz w swoich rękach.

Pionowo — 1) Miasto na Sycylii, 2) Badacz języka i kultury chińskiej 3) Wyrób cukierniczy, 4) Owoce południowe.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.
Rozwiązanie krzyżówki z nr 30

Poziomo — klarnet, pantera, potop, raz, Ate, zebra, akant, gazda, ale, rum, Asnyk, trylion, szarada.

Pionowo — koperta, amnezja, niema, trapezoedr, tabor, pragmatyka, tank, Zinaida, alkanna, Atos.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Aldona Trzeciakowska, Pabianice, ul. Warszawska 121 m. 3. **2. Stefan Jaksa**, Łódź, ul. Piotrkowska 152.

Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,— zł, kwartalnie 12,— zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-379 z zaznaczeniem na „Odgłosy".
Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Z. 3160. XI. 58. M-4.

Nr 3

Korespondencyjny Kurs Języka Plastyczego pod redakcją Henryka Andersa

(lekcja trzecia)

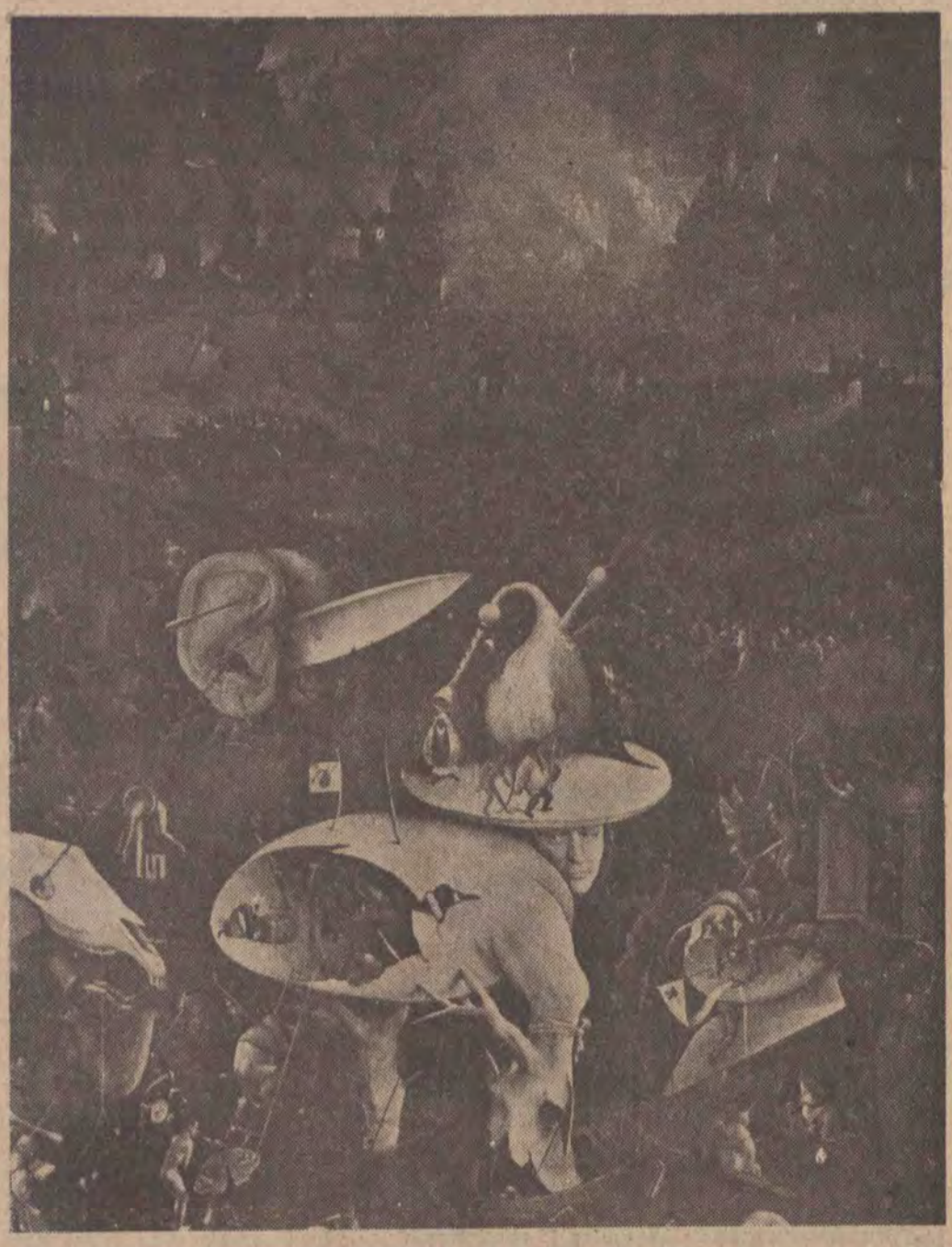

Pewien obywatel (znany redakcji z imienia, nazwiska i fizjonomii) z każdej wystawy współczesnego malarstwa wychodzi regularnie i dogłębnie obrażony. Bo jakże: za jego czasów, jeżeli malarz malował kwiaty, to te kwiaty były jak żywe, mężczyźni byli podobni do ludzi, a kobiety, ubrane czy rozebrane, miały wszystko na swoim miejscu. A dzisiaj — czyste kpiny. Można jeszcze wytrzymać rozmaite paski czy kratki. Do niczego to niepodobne, ale przynajmniej nieszkodliwe. Ale każą człowiekowi patrzeć na jakieś połamańce, na różne monstra i dziwadła. Ja się pytam: kto wariat? Świat się kończy i już, dawniej tego nigdy nie było.

Nie chcielibyśmy przyjmować odpowiedzialności za koniec świata, ale... zresztą pogadamy później, najpierw przyjrzyjcie się, obywatelu: „co widziem na tym obrazku"?

Oczywiście, macie rację. Tylko, widzicie...

Owe niesamowite historie wcale nie wylęgły się w chorobliwej wyobraźni malarza współczesnego. Jest to fragment tryptyku przedstawiającego „Ogród rozkoszy", a malował go niejaki Hieronim Bosch — malarz niderlandzki, który żył w latach około 1450—1516. Jak łatwo się domyślić obraz nie odtwarza ówczesnego życia, lecz w sposób symboliczny uzmysławia sens i skutki ludzkich poczynań.

I dzisiaj bywają prawdy, które łatwiej udowodnić przy pomocy symbolu niż poprzez protokolarny opis faktów. Zastanawiał się kiedyś Picasso jak pokazać grozę współczesnej wojny, jak zmieścić równocześnie na obrazie: walki na froncie i naloty bombowców, mózgowy wysiłek dowódców i wzmożoną produkcję przemysłu, tragedie obozów koncentracyjnych i rozpacz matek. W wyniku tych rozważań powstały słynne symboliczne freski — „Wojna i Pokój".

Jeżeli więc zobaczycie na obrazie stwory nie z tej ziemi i dziwaczne zestawienia przedmiotów, zastanówcie się łaskawie, jaką myśl chciał wyazić artysta. A o symbolizmie oaz nadrealizmie, który wiele zaczerpął od Boscha, jeszcze porozmawiamy.

WAŻNE DLA KANDYDATÓW NA K...J.P. (KAKAJOTPE)

Przewidując liczne zgłoszenia, dyrekcja przedłuża zapisy do 31 grudnia br.

Równocześnie — w ramach i po linii — znosi się:

egzaminy wstępne,
opłaty za czesne.

CZESŁAW GARDA

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

TAK zwany PEKIN

Na pierwszym piętrze rozległy się krzyki. Od razu w całym hotelu dało się zauważyć poruszenie. Otwierały się i zamykały z trzaskiem drzwi sąsiednich pokojów, tupot biegnących nóg załomotał na korytarzach.

— Co się stało? — zapytała kierowniczka portiera.

— Ano, pewnie znów się pobiły, cholera!

Pobiegliśmy we czworo, kierowniczka, portier i my, na pierwsze piętro. Na korytarzu przed pokojem nr 50 toczyła się bójka. W kręgu podnieconych koleżanek szamotały się i szarpały za włosy trzy dziewczyny.

— Lodzia, Jadzia, Irena! — mocny głos kierowniczki przywołał dziewczyny do porządku.

Zajrzeliśmy przez otwarte drzwi do wnętrza pokoju, przed którym toczyła się bójka. Wnętrze przedstawiało obraz zniszczenia: wywrócony stół, rozbita szafa z wyrwaną deską, którą Marysia zdzieliła Irenę po głowie.

O cóż poszło? Jak często — o drobiazg! A wreszcie, może i nie o drobiazg? Najlepiej oddać głos jednej z uczestniczek zajścia, która złożyła następujące pisemne oświadczenie.

„Oświadczam, że w dniu... o godz.... do pokoju nr 50 weszła mieszkanka z pokoju nr 55 obywatelka L. T. po buty, które porzyczyłam (zachowujemy składnię, interpunkcję i pisownię autorki oświadczenia) od K. Cz. z pokoju 38 chciała sama otworzyć nożem gdyż zamek w pokoju nr 50 jest zepsuty na zwróconą uwagę przez S. I J.K. wydać, jaki złodziej się do pokoju dostanie po tych słowach ja weszłam do pokoju 55 i udeżyłam L. T. Po udeżeniu L. T. przeze mnie L. złapała noża i butelkę, chciała mnie uderzyć nożem i butelką, ja później siedziałam przy stole wywaliła mnie na podłogę i zaczęła mnie kopać pochodząc nawet na brzuch w tym weszła M. H. mieszkanka z pokoju 66 chcąc mnie przyjść z pomocą złapała deskę i uderzyła L. T. ja udziału już nie brałam w tej awanturze, gdyż byłam bardzo osłabiona udeżeniem mnie w żołądek".

Z powyższego widać, że mieszkankom Hotelu Robotniczego przy ul. Żeromskiego, zwanego Pekinem, nie zbywało na temperamencie i sile uderzenia, kończącego spór iście bokserskim nokautem. Ale żarty na stronę! Kim były uczestniczki zajścia? Od strony zawodowej — większość mieszkanek Hotelu (a jest ich bez mała 340), to robotnice z Zakładów Przemysłu Wełnianego im. Gwardii Ludowej (te ostatnie utrzymywały Hotel, dokładając do niego duże sumy, w ubiegłym roku 720 tysięcy złotych!).

Od strony osobistej — energiczna Marysia (ta, która zdzieliła koleżankę deską od szafy) pochodzi z Kutnowskiego; po ukończeniu kursów przysposobienia zawodowego, pracuje od czterech lat w Łodzi; praca w fabryce jej nie odpowiada, ale pomimo to o powrocie na wieś słyszeć nie chce! Ponieważ już raz została okradziona przez koleżanki, więc chciałaby się wyprowadzić z Pekinu i zabiega u władz kwaterunkowych o przydział mieszkania.

Niebezpieczna L. T., która usiłowała użyć w bójce noża i butelki, przyszła do Hotelu Robotniczego z Domu Dziecka i też wzdycha, żeby otrzymać mieszkanie z Kwaterunku. Ona również narzeka na życie w Hotelu.

Według informacji kierowniczki, około 70 proc. mieszkanek Hotelu rekrutuje się ze wsi, reszta — z miast, przeważnie z Domów Dziecka. Są to kobiety w wieku 18 do 27 lat.

Ale jak się skończyła opisana na wstępie awantura? Zakończyła się jak wiele innych. W oszklonej gablotce w hallu ukazał się komunikat następującej treści:

„Odpis z udzielonej przez Dyrekcję ZPW im. Gwardii Ludowej i Dyrekcję ZPW im. N. Barlickiego nagany... (następują nazwiska). Wyżej wymienione obywatelki wywołały awanturę i bójkę w Hotelu Robotniczym, w czasie której zniszczyły szafę oraz bieliznę pościelową, przedmioty, które stanowiły własność Hotelu. W związku z zaszłymi incydentami Dyrekcja Zakładów ostrzega wszystkie pozostałe pracownice ZPW im. Gwardii Ludowej i ZPW im. Barlickiego, że w wypadku zaistnienia podobnych incydentów wyciągnięte zostaną w stosunku do osób winnych konsekwencje, tzn. zwolnienie z Zakładu i wydalenie z Hotelu Robotniczego".

Groźba pozostała na papierze. A brak skutecznej represji, która by oddziaływała hamująco na mieszkanki Hotelu — przyczynił się do powstania drugiego zła, o którym wspomina komunikat: niszczenia przedmiotów stanowiących własność Hotelu! Wyposażony nowocześnie we wszelkie instalacje i urządzenia higieniczne dom przy ul. Żeromskiego 156 przedstawia opłakany widok: potłuczone umywalki, poodrywane deski z misek klozetowych, ukręcone kurki przy kuchni gazowej przeznaczonej do wspólnego użytku, zniszczone łazienki itd. itd.

Dziewczęta, przybywające ze wsi do miasta w poszukiwaniu pracy, odznaczają się na ogół niskim stopniem rozwoju kulturalnego. Z zarobków miesięcznych (1000 do 1300 zł) tylko w nieznacznej części partycypują (zł 75) w kosztach pobytu w Hotelu, które w rzeczywistości wynoszą 220 zł miesięcznie (pokój, światło, bielizna pościelowa, pranie itp.). Większość nie docenia korzyści i ułatwień, jakie im stworzono przez umożliwienie pobytu i znalezienie pracy w mieście, przez umożliwienie nauki, awansu społecznego i kulturalnego itp. Trudno wdrożyć w umysły mieszkańców hoteli robotniczych takie pojęcie — jak poszanowanie własności społecznej.

Przy tym młodzież przybywająca do hoteli robotniczych, zwłaszcza młodzież ze wsi, poddaje się łatwo tanim urokom wielkomiejskiego życia i zamiast wykorzystać sposobność nauki i doskonalenia w zawodzie rzuca się w wir zabaw, uciech i niewybrednych przygód miłosnych.

Jedną z wielu plag życia hotelowego było sprowadzanie przez lokatorki do pokojów przygodnych znajomych, niekiedy chuliganów, którzy urządzali awantury. Czasem odbywało się to w osobliwie „romantycznych" okolicznościach. Mieszkanki Pekinu wracały w stanie nietrzeźwym i wpuszczały mężczyzn potajemnie przez okno w ubikacji. Niemniejszą plagą było wprowadzanie przez zamężne mieszkanki Hotelu do pokoju, zajmowanego przez cztery niewiasty, męża, który zakwaterował się w tym pokoju na stałe. Zażalenie wniesione przez dwie z mie-

LESZEK WITCZAK

Erotyk wymuszony

Uśmiechasz się do mnie
jakbyś pozowała do fotografii
nie mówisz nic

Dotykam cię końcami palców,
a jesteś tak odległa,
że Wielka Niedźwiedzica ociera się o twoją suknię

i nigdy
pustki między nami
nie wypełnia
nasze oddechy,
nasze ciała

ale ja jestem zwykły człowiek,
chodzę w podartych butach,
brak mi do subtelności
garnituru
i paruset złotych
nie zabierajcie mi wiary w miłość

nie mówisz nic

Wyjmujesz mi z dłoni
swoje małe stopy
Odchodzisz

nie zabierajcie mi wiary!

JERZY WILMAŃSKI

Bajka o dziwnym mieście

gdzieś
ponad kurzem co nad nami
zawieszony

gdzieś
pomiędzy księżycem
a najdalszą z gwiazd
jest dziwne miasto
o nieustalonej nazwie

powiedział mi o tym gliniany murzyn
zatrudniony na moim biurku
w charakterze popielniczki

ja o tym mieście wiem niewiele
ale mi murzyn śpiewał pieśń
tamtejszych halabardników

RYSZARD DOROBA

Rachunek wiary

Pyłem legły dymy kadzidlane
na dzieciństwa różowych witrażach
i wspomnienia, mgłą zimną owiane,
dopalają się w czasu lichtarzach.

Dawne prośby i dawne podzięki
milczą głucho w ruinach kościoła —
pozostały tylko stacje męki,
pozbawione opieki anioła.

Niepokój

Tyś w czarodziejską wpisała mnie linię,
której przekroczyć nie śmie moja noga,
choć nieopodal trzeźwy strumień płynie
i uczęszczana odwija się droga.

Wsłuchany pilnie w barwę twego głosu,
tkwię bezrozumnie w lampy twej pomroczu,
w miękkiej przepaści twych puszystych włosów,
w ciasnym obwodzie twych uważnych oczu.

Za oknem zwykłym rytmem tętni życie,
w domu zaczęte leżą prace moje —
patrząc w twe oczy odejść pragnę skrycie
i pragnień swoich i myśli się boję.

szkanek Pekinu najlepiej ilustruje ten stan rzeczy:

„Mieszkam w pokoju nr... Pokój ten jest zamieszkany... (następują trzy nazwiska lokatorek). Mąż kol. B ni» jest zameldowany w naszym domu, jednak mieszka i tak się czuje, jakby był stałym mieszkańcem. Każdą noc śpi w naszym pokoju, ja jestem panna, dla mnie jest krępujące rozbierać się i ubierać przy obcym mężczyźnie. W nocy nie dadzą nam spać, tylko śmiechy i rozmowy. Wiele razy idę do pracy niewyspana. B. S. w pokoju wykonuje wszystkie prace, jak pranie, suszenie bielizny, rąbanie drzewa, gotowanie na maszynce elektrycznej, w pokoju myje się również mąż koleżanki B., a brudna woda stoi po tygodniu czasu nie wyniesiona z pokoju. Z powodu wykonywania w naszym pokoju wszelkiego rodzaju prac nie wygląda on jak pokój, gdzie mieszkają ludzie, ale jak pomieszczenie nadające się dla zwierząt. Jest w nim brudno i jego zanieczyszczenie powoduje specyficzny zapach. Kwestia sprzątania przedstawia się w ten sposób, że koleżanka B. twierdzi, że sprzątanie należy do mnie, bo ja jestem panna. Koleżanki tego pokoju stwierdzają, że dalsze zamieszkanie w takich warunkach mieszkaniowych jest niemożliwe. Prosimy Kierownictwo Hotelu o pozytywne rozpatrzenie naszego zażalenia.

(dwa podpisy).

— Hotel był przeznaczony tylko dla kobiet pracujących w przemyśle włókienniczym, a ściślej — wełnianym. Początkowo liczba mieszkanek wynosiła 280, lecz stopniowo wzrosła do 340, a to z powodu napływu robotnic z dwóch innych, zlikwidowanych hoteli, przy czym niektóre z nich przyprowadziły mężów — informuje nas kierowniczka Hotelu.

Obraz wypełnił się ciemnymi barwami. Ani perswazja, ani tłumaczenia, ani środki wychowawcze tak ze strony kierownictwa Hotelu, jak i ze strony czynników partyjnych oraz kierownictwa zakładów fabrycznych, nie poprawiły sytuacji. Samorząd hotelowy również nie mógł sobie poradzić z tymi, które stanowiły element niezdyscyplinowany.

Dewastacja instalacji, a wantury, wreszcie bumelanctwo i nierząd — wszystko to doprowadziło do powzięcia przez odpowiedzialne za Hotel czynniki decyzji zlikwidowania Pekinu. Gmach przy ul. Żeromskiego jest już obecnie stopniowo zajmowany przez biura i urzędy Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź — Ruda.

Po czyjej stronie leży wina? Czy po stronie czynników społecznych, które nie stanęły na wysokości — trudnego, trzeba to przyznać!— zadania i nie potrafiły zorganizować i pokierować życiem rozhukanej rzeszy młodych dziewczyn? Czy po stronie samej młodzieży, której zdrowe elementy, zorganizowane w samorządzie hotelowym, nie potrafiły pomóc kierownictwu w zwalczeniu i ukróceniu w swych szeregach samowoli, demoralizacji i chuligaństwa.

Trudno odważyć się na odpowiedź bez głębokiego przestudiowania całokształtu sprawy, której nie da się załatwić jednym reportażem. Na marginesie nasuwa się pytanie, czy nasz łódzki Instytut Socjologii przeprowadza badania naukowe w hotelach robotniczych? Jeżeli tak, to chyba w materiałach Instytutu należy szukać odpowiedzi na postawione wyżej pytania.

Zebrany z Pekinu materiał reportażowy nasuwa jednak uwagę, że nie potrafimy jeszcze we właściwy sposób korzystać z tych instytucji, które powstają w związku z postępami budownictwa socjalistycznego.

Najostrzejsze ołówki świata

Borys Jefimow

Nie ma chyba numeru popularnego „Krokodyla", w którym by się nie ukazał przynajmniej jeden rysunek satyryczny Borysa Jefimowa. Ten zasłużony karykaturzysta należy dziś do najbardziej pracowitych rysowników radzieckich — i obok słynnych Kukryniksów cieszy się ogromną popularnością.

Jefimow liczy dziś 58 lat. Rysować zaczął już w czasie Rewolucji Październikowej, pierwsze swe prace zamieszczał w 1918 roku, w gazecie żołnierskiej „Krasnaja Armia". Jefimow pracował wówczas w aparacie politycznym Komisariatu do Spraw Wojennych na Ukrainie.

Systematyczną działalność karykaturzysty podjął Jefimow z chwilą przeniesienia do Moskwy w roku 1922. Redakcje „Prawdy" i „Izwiestii" szybko oceniły temperament, pomysłowość i talent młodego rysownika Jefimow staje się czołowym współpracownikiem obu tych dzienników — a wkrótce i nowopowstałego „Krokodyla". W tym też czasie styka się się ze starszym od siebie 40-letnim wtedy, znakomitym rysownikiem Dymitrem Moorem (Orłowem).

Moor był wyrocznią, dla młodego pokolenia karykatury, wywierał ogromny wpływ na całą satyrę radziecką. Ze „szkoły Moora" wyszła spółka Kukryniksów, pod jego opieką debiutował w latach trzydziestych Borys Prorokow.

Jefimow tylko w jednym poddał się wpływom Moora — zaczął dbać o pogłębienie psychologicznego rysunku przedstawianych postaci. Nadal jednak stosuje swój indywidualny styl karykatury: plakatowy, symboliczny schemat sytuacyjny. Tej zasadzie pozostał zawsze wierny, doskonaląc tylko środki plastyczne i przezwyciężając pewną gadatliwość swych wcześniejszych prac.

Borys Jefimow operuje lapidarną metaforą, przemawia raczej do intelektu, niż do uczucia. Tematy jego prac dotyczą wyłącznie zagadnień politycznych — i to raczej kręgu spraw międzynarodowych. W problematykę obyczajową nie zapuszcza się nigdy.

ASTRONOM — KOLONIZATOR: Istnienie kanałów na Marsie zostało udowodnione. Pozostaje nam wykazać, że Marsjanie nie mają do nich żadnego prawa...

Zamówcie u malarza plakat: „Oszczędzaj każdą kopiejkę"! Duży plakat, w złoconych ramach, inkrustowany... Pieniędzy na to nie żałujcie!

„Związek Radziecki zagraża Anglii!"

TADEUSZ SŁUPECKI

NIESPODZIANKA

Kiedy Halinka Cymbalik — dziewczę rodzinnym tradycjom wierne — doszła do wieku, w którym dziewczęta pragną się zakochać — nie znalazła w rodzinnym miasteczku godnego kandydata. Robotnicy i chłopi byli za zwyczajni, nauczyciele akurat żonaci, weterynarz — brzydki jak śmierć na chorągwi, a kierownik miejscowego chóru nazywał się — Fujara!

Los chciał, że właśnie on zadurzył się w Halince.

— Czemu ty go unikasz? — dziwiły się nieraz koleżanki. — Chłopak jak świeca, na spokojnej posadzie, na harmonii gra lepiej niż inni na patefonie...

— Ale ma chłopskie gusta. A ja uwielbiam wielkie miasto! — wydymała zwykle wargi. W końcu wypaplała się jednak z sekretu: „On mi się — przyznała — podoba nawet z tymi gustami. Tylko, jak tu wyjść — brrr — za „Fujarę"? Przecież to brzmi jeszcze śmieszniej niż „Cymbalik"!

Ale kierownik chóru z uporem nieszczęśliwie zakochanego dreptał jej co wieczór po piętach. W dzień zaś, przy pomocy małoletnich amatorów śpiewu, zasypywał dziewczynę stosami namiętnych listów. Toteż Halinka z taką ulgą przyjęła telegraficzne zaproszenie na wesele koleżanki szkolnej z sąsiedniego miasteczka, jakby były one wizą wyjazdową do bogatego wujka w Ameryce.

Wesele uczyniło z koleżanki najszczęśliwszą pod słońcem mężatkę, a z Halinki — narzeczoną jej brata. To była naprawdę miłość od pierwszego wejrzenia! On przysiągł zapisać się po ślubie nawet na korespondencyjny kurs gry na harmonii, Halinka zaś zrezygnowała z projektów wyjazdu do wielkiego miasta. Bo Janek był agronomem w gospodarstwie państwowym i zaraz by — jak twierdził — w dużym mieście dostał paraliżu płuc. Ale za to miał dyplom szkoły rolniczej i nazywał się — jak osądziła rodzinka Halinki — dość wytwornie: Sobolewski!

Na wieść o jej narzeczeństwie Fujara przed całym chórem przysiągł Halince kawalerską zemstę. Halinka machała na to pogardliwie dłonią. Lecz w głębi serca zaczęła się lękać jego pogróżek. I nawet w przedślubnych snach trapiły ją myśli, że popełni on, lada chwila, coś, co pozbawi ją Janka lub okryje śmiesznością. Obawy te wzrosły jeszcze w dzień ślubu. Bo oto przed urzędem stanu cywilnego ujrzała nieszczęśliwego wielbiciela!

Schroniła się w popłochu za narzeczonego. Ale Fujara dygotał silniej niż ona.

— Ja... ja... — jąkał, stojąc przed Jankiem — chciałem tylko powiedzieć narzeczonej obywatela, że ja zrozumiałem. Bo, tego, sam wiem, co znaczy... taka miłość. Więc, żeby się już nie bała. I żeby ja obywatel po ślubie... szanował. Bo to taka dobra dziewczyna.

— Ale o co chodzi? Kim pan jest? — zdumiał się Janek.

Halince spadł kamień z serca. I pojmując, że to kres obaw przed odpalonym wielbicielem, i owa przykra niespodzianką, wykrztusiła z ulgą:

— To... kierownik chóru. Pan Fujara. A to mój narzeczony, Jan...

— Trąbala — przedstawił się uprzejmie Janek.

— Tra... Trąbala? — osłupiała Halinka. — Przecież twoja siostra nazywała się przed ślubem Sobolewska!

— Tak... — odparł, nieco zmieszany. — Ale widzisz, ona urodziła się z drugiego małżeństwa mojej matki. A ja jestem z pierwszego.

NA DRODZE DO ROZBROJENIA

W KRAJU PARTYZANCKIM

Nocna wycieczka pułkownika von Droppe

NIE POZWALAM!

Doszła nas wiadomość tak niebywała, że aż się wierzyć nie chce, iż odpowiada ona prawdzie. Oto — powstała ponoć w mieście Zielonej Górze — „Komisja Repertuarowa", która we własnym kółku towarzyskim bada przydatność ideową wyświetlanych na terenie Zielonej Góry obrazów. Oczywiście — w samej pracy naukowo-badawczej — gdyby kończyła się ona na teorii i wydawaniu orzeczeń — nie byłoby jeszcze nic złego. Ba, można nawet powiedzieć, że powstanie instytucji terenowej, prowadzącej w wiadomym zakresie prace poznawcze — warte jest uwagi a nawet poklasku. Sęk jednakowoż w tym, iż owa „Komisja Repertuarowa" postanowiła jakoby, własnymi siłami i we własnym zakresie, przy pomocy nożyc, kleju i przyrządu zwanego sklejarką — poprawiać (włos się na głowie jeży!) — krytykowany w swoim gronie owoc pracy reżyserów. Szan. „Komisji" nie podoba się któraś scena? Ciach! — i sceny nie ma. Jakie to proste. Przy większej inwencji — być może — doczekamy się, że z czasem, przy pomocy lokalnych sił wytwórczych, dokręci ktoś w Zielonej Górze coś niecoś do obrazu zarówno ku zadowoleniu gwiazd miejscowego teatru, jakoż dla większej satysfakcji swego wewnętrznego przekonania.

Na razie nikt jeszcze nic nie dokręca, ale już się tnie. I to nawet dosyć radykalnie, pewną ręką. Na początek poszły „Kalosze szczęścia". Jak powszechnie wiadomo — jest w tym filmie scena, gdy Fijewski namawiany do „wybrania wolności" sprzeciwia się twierdząc, że nie może opuścić tow. Gomułki. Filuterny dowcip podpadł uwadze czujnej Zielonogórskiej Komisji i... zielonogórzanie — jak wieść niesie — nie oglądają tej sceny.

Ha, w imię troski przejawianej przez Wysoką Komisję, troski o zdrowie psychiczne zielonogórzan — można by tę scenę darować, ale za tą pierwszą sceną poszły inne, których staranne wyliczenie mogłoby się stać powodem wcale miłej rozrywki. Mogłoby, gdyby nie pewien dosyć istotny szkopuł. Bo to wszystko — niestety — wcale nie jest wesołe. Bardzo mi przykro, ale pozwolę sobie na poprowadzenie myśli do końca. Co będzie — zapytuję uprzejmie, jeśli zielonogórska zabawa rozprzestrzeni się jak kraj długi i szeroki i owo „poprawianie" filmów przejdzie do historii polskiego kina jako z zapałem tu i ówdzie praktykowana metoda? Jako coś niby na wzór znanych uprawnień stanowych w USA? I co będzie — przepraszam — jeśli poczynając od filmu — metoda ta przejdzie do pokrewnych dziedzin życia kulturalnego? Teatr i plastyka dają równie wdzięczne pole do popisu i strach pomyśleć — z czasem któraś z komisji gotowa — dalej w imię osobistych przekonań estetyczno-ideowych — domalować wąsy potretom dostojników państwowych...

Rozumiem, że lokalne władze mogą wydumać sobie, że taka lub inna scena, z tych albo innych — (ale zawsze subtelnych) powodów — winna ominąć miejscowe ekrany. Powiedzmy np., że bohater filmu, rozpustnik i erotoman o pobocznych skłonnościach do kieliszka — nazywa się Zenobiusz Kołodziejczyk, a chce traf, że identyczne imię i nazwisko nosi miejscowy przeor Frontu Odnowy Moralnej. Można wówczas uprosić kinomechanika, żeby mignął listkiem figowym w ściśle zawczasu określonym miejscu ścieżki dźwiękowej, no i jest po krzyku. Ale kaleczyć film, zresztą wyprodukowany w kraju — w imię wymyślonych, bezpodstawnych przyczyn, kierując się własnym „widzimisię" i komiczną nadgorliwością? Nie, tego ani zrozumieć, ani usprawiedliwić niesposób. Pozostaje natomiast miejsce na pytanie, czy nie ma u nas instytucji, która by chroniła twórcę przed doświadczaniem tego rodzaju żenujących praktyk?

Przypuszczam, że zarówno Urząd Kinematografii jak twórcy filmowi i wreszcie Ojcowie Miasta Zielonej Góry — odpowiedzialni za poczynania rzeczonej „Komisji" — zechcą wypowiedzieć się w tej nadzwyczaj interesującej sprawie.

EDWARD ETLER

FATALNE SKUTKI WINOBRANIA

RANCHO W swojskim TEXASIE

Jak już informowaliśmy — w zespole „Droga" realizowany jest film pt. „Rancho". Ekipa filmowa zakończyła zdjęcia plenerowe, dokonywane w Bieszczadach i znajduje się obecnie we Wrocławiu. Reżyserem filmu jest Wadim Berestowski, zdjęcia wykonuje Romuald Kropat. W roli głównej zobaczymy Bogusza Bilewskiego, znanego z „Historii jednego myśliwca".

ZWYCIĘZA SOPHIA LOREN

Zamieszczone w 34 numerze „Odgłosów" rysunki filmowe art. grafika Stanisława Ibisa - Gratkowskiego spotkały się ze zrozumiałym zresztą, życzliwym przyjęciem Czytelników. Świadczy o tym gremialne „obesłanie" konkursu, przy tym — co ciekawe — każda prawie wypowiedź nadprogramowo poparta została entuzjastyczną oceną jakości artystycznej reprodukowanych prac. Weźmy dla przykładu wypowiedź pani Haliny Stasińskiej (pierwsze miejsce w losowaniu), która opowiedziała się za rysunkiem przedstawiającym Sophię Loren.

„Najlepszym z zamieszczonych rysunków — pisze p. Stasińska — jest moim zdaniem — podobizna Zofii Loren (nr kolejny rysunku — 8). Świetnie został uchwycony tak charakterystyczny dla niej typ urody. Samo wykonanie rysunku także odpowiada mi najlepiej..."

Około 75 proc. uczestników konkursu wyraziło podobne zdanie. Ten rysunek, tym razem w powiększeniu, reprodukujemy obok, a jego oryginał (wykonany tuszem na kartonie) po wycofaniu z drukarni, zostanie przesłany p. Stasińskiej. A oto oficjalna lista uczestników konkursu, którzy w wyniku losowania otrzymają (pocztą) nagrody książkowe:

1) Halina Stasińska, Zgierz, Świerczewskiego 42 m. 3,

2) D. Cymerman, Narutowicza 25 (głos za Massiną),

3) J. Ptaszek, Główna 19 m. 8 (Cybulski),

4) B. Błachowska, Uniwersytecka 22 m. 88 (Głębów),

5) Bogunił Puczyński, Staszica 8 m. 2 (Massina),

6) St. Tomczak, Uniwersytecka 22 m. 88 (Cybulski).

Wszystkim pozostałym uczestnikom konkursu składamy podziękowanie za udział w naszej imprezie.

FESTIWAL DLA MŁODZIEŻY

Tym razem mamy w październiku — zamiast tradycyjnego już Festiwalu Filmów Radzieckich — Festiwal Radzieckich Filmów Młodzieżowych. Tym samym została w pewnym sensie przedłużona idea festiwalu przy jednoczesnej odmianie jego zasady. Zmiana to — i nie zmiana. Inna widownia — młodsza, inne filmy, inne metody propagowania. Z drugiej strony okolicznościowy charakter imprezy (rocznica Rewolucji i czterdziestolecie powstania Komsomołu) nawiązuje do tych festiwali, które pamiętamy z lat ubiegłych.

Z filmów radzieckich, które tym razem oglądają nasi milusińscy, na trzy — przede wszystkim — warto zwrócić uwagę. A więc „Ogniste wiorsty" — Samsonowa, autora kulturalnie zrobionej „Trzpiotki". „Trzpiotka" — jak pamiętamy — uzyskała wysoką nagrodę w konkurencji międzynarodowej. Potem Samsonow zrealizował nieudaną „Tajemnicę domu towarowego". „Ogniste wiorsty" są więc trzecim filmem młodego reżysera i powiedzmy od razu — filmem udanym. Oczywiście nasza ocena dzieła uwarunkowana jest przez pewne rozeznanie w dziedzinie oczekiwań tego odbiorcy, który jest bezpośrednim adresatem „Ognistych wiorst".

... *Pędzi taczanka, bryczka zaprzężona w parę koni i najeżona karabinem maszynowym. Taka jak w „Czapajewie". Cel wyprawy — oblężone miasto. W taczance znajdują się uzbrojeni ludzie. Jest wśród nich młoda dziewczyna, pomocnica lekarza, Katia (gra tę postać Margarita Wołodina, absolwentka Studium Teatralnego MChATu), jest lekarz, śpieszący do miasta aby zastąpić kolegę i jest aktor, jadący do swojej chorej żony. Intryga filmu jest prosta: oto wśród tych ludzi są jeszcze dwaj — czekista, który ma schwytać i unieszkodliwić kontrrewolucjonistę, i... właśnie ów kontrrewolucjonista, o którym czekista nie wie. A więc niezbyt zawikłana intryga i metoda opowiadania takoż samo wyraźnie jest sprecyzowana i zbliżona do najdalej idącego uproszczenia*

Widz z łatwością, choćby na podstawie fotosów, dostrzeże, który z bohaterów jest aktorem, który lekarzem, który — czekistą itd.

Następny film to „Chłopiec z gutaperki", obraz którego treść oparta jest o „niezawodny" materiał — relację z życia środowiska cyrkowców. Chodzi tu nie o współczesny cyrk radziecki — ale o cyrk z ubiegłej epoki, dawnej Rosji. Stąd w scenariuszu postacie hrabiego, hrabiny, a także sadysty i w ogóle obrazy bezprawia, co w sumie stanowi o tym większej egzotyce tematu dla jego bezpośredniego odbiorcy — dzieci radzieckich.

„Chłopiec z gutaperki" jest adaptacją powieści Grigorowicza (XIX wiek) zrealizowaną przez Władimira Gerasimowa według scenariusza opracowanego przez M. Wolpina. Temat o charakterze dramatycznym także i w filmie z dużą konsekwencją poprowadzono w tymże samym kierunku a pasmo perypetii młodego chłopca nad którym znęca się wyuzdany sadysta — pokazane zostało w sposób wystarczająco sugestywny. Naszą młodą widownię powinno to zainteresować.

Innym filmem są „Więźniowie Lamparciego Jaru". Jest to obraz typowo przygodowy, jego akcja toczy się wśród trudno dostępnych szczytów i niebezpiecznych przepaści. Treścią filmu jest wydarzenie, które przydarzyło się grupce pionierów zagubionych w Lamparcim Jarze. Scenariusz tego filmu napisali A. Ananian i M. Szaririan, reżyserem był Martirosian, a zdjęcia wykonał I. Dildarian.

A. J. P.